



WOJCIECH PIĄTEK

# NAJMŁODSZY

PROFESOR TYTULARNY UŁAM

s. 15

DR ERNESTYNA SKURJAT-KOZEK

**Polka i antypody**

s. 25

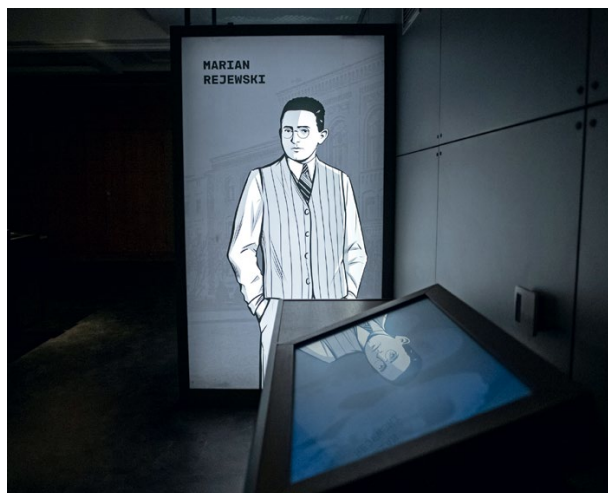
PROF. ŁUKASZ KACZMAREK

**Chodźmy na grzyby**

s. 28

# Enigma zaczęła się w Poznaniu

Ostatni weekend września upłynął pod znakiem szyfrów i tajemnic. Nowe muzeum na mapie Poznania – Centrum Szyfrów Enigma (CSE) otworzyło drzwi przed pierwszymi gośćmi.



FOT. ZŁ LUKASZ CDAK

**C**entrum Szyfrów Enigma upamiętnia sukces polskich kryptologów, absolwentów Uniwersytetu Poznańskiego, którzy tuż przed wybuchem II wojny światowej złamali kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. Miejsce na muzeum wybrano szczególne. Tam, gdzie dziś stoi Collegium Martineum, u zbiegu ulic Święty Marcin i Kościuszki, przed wojną znajdował się oddział biura szyfrów Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. W tym budynku studenci Uniwersytetu Poznańskiego: Marian Rejewski, Henryk Zygalski i Jerzy Różycki rozpoczęli prace związane z Enigmą.

Centrum, kierowanemu przez Piotra Bojarskiego, przyświeca hasło „Prawdziwa historia. Wyzwanie dla umysłu”. „Misją

instytucji jest budowanie świadomości, że historia złamania kodu Enigmy zaczęła się w Poznaniu; pokazywanie, jak wiedza, nauka, technologia i współpraca inspirują do wielkich odkryć i wpływają na naszą rzeczywistość” – czytamy w materiałach promocyjnych muzeum.

Ekspozycja składa się z trzech części. Pierwsza obejmie kurs szyfrów. Zwiedzający poznają tam metody szyfrowania informacji od starożytności aż po czasy obecne. Kolejne są poświęcone historycznym wydarzeniom, związanym ze złamaniem kodu Enigmy oraz ich następstwami, które doprowadziły do rewolucji cyfrowej. W Mediatece znajdują się materiały cyfrowe przedstawiające szczegóły opowieści

## Międzypokoleniowe spotkanie pedagogów

**We wrześniu, po rocznej przerwie spowodowanej pandemią, odbyła się kolejna, XXXIV Letnia Szkoła Młodych Pedagogów, organizowana przez PAN i WSE UAM. Podczas inauguracji wydarzenia upamiętniono patronkę szkoły, prof. Marię Dudzikową, uznaną pedagog UAM.**

Letnie Szkoły Młodych Pedagogów, które wspierają i stymulują rozwój naukowy młodych badaczek i badaczy oraz służą integracji środowiska, mają już swoją tradycję. W Szkołach przez lata wzięło udział kilka pokoleń naukowców.

– Gdy spotykają się osoby z różnych regionów i pokoleń, wymieniają się doświadczeniami i wzajemnie się od siebie uczą, to jest to dzieło imponujące. Także patronat, który tym spotkaniom udziela zmarła niedawno prof. Dudzikowa, jest patronatem znaczącym, ponieważ przywiązywała ona ogromną wagę do kształcenia młodych ludzi – powiedziała prof. Bogumiła Kaniewska, rektor UAM, na inauguracji Szkoły w Auli Lubrańskiego.

Prof. Zbyszko Melosik, prorektor UAM, odniósł się do hasła przyświecającego tegorocznej edycji Szkoły „Pedagogika w uniwersytecie. Konteksty – Koncepcje – Praktyki”. – Pedagogika jest nauką wspianą, kapitalnym laboratorium teorii

o polskich kryptologach. Dla najmłodszych natomiast przygotowano Strefę Szyfrów, miejsce inspirujące do samodzielnego zdobywania wiedzy.

Centrum pozyskało wiele ciekawych artefaktów. Jednym z najcenniejszych jest oryginał maszyny szyfrującej Enigma, depozyt z Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu. Egzemplarz pochodzi z lat 30. ubiegłego wieku i został zakupiony w 1987 roku od toruńskiego Przedsiębiorstwa Państwowego Desa.

W muzeum można też obejrzeć m.in. pamiątki po kryptologach (zdjęcia, listy, przedmioty osobiste) i eksponaty przekazane przez trzech prywatnych darczyńców. Andrzej Łukaszewicz podarował klucz radiotelegraficzny czyli tzw. bocznik. Przyrząd był wykorzystywany w 1938 roku przez Leonarda Sommerfelda, pracownika Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Czesław Gembara przekazał w depozyt wobulator, czyli generator częstotliwości, natomiast Rafał Kondola oryginalny kalendarz Kriegsmarine z 1942 roku.

Głównymi adresatami muzeum są mieszkańcy Poznania, Wielkopolski, turyści z kraju i zagranicy, uczniowie i rodziny. Warto dodać, że całą przestrzeń Centrum przystosowano do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, rodzin z dziećmi i osób starszych. W budynku znajdują się: pokój wyciszenia i miejsca odpoczynku. Na czas zwiedzania można wypożyczyć wózek rehabilitacyjny i słuchawki wyciszające.

Zaprojektowanie i wybudowanie Centrum Szyfrów Enigma kosztowało ok. 30 mln złotych. Inwestycja prowadzona przez Miasto Poznań w partnerstwie z UAM i przy wsparciu społecznym została dofinansowana ze środków Unii Europejskiej.

Operatorem CSE jest miejska instytucja kultury - Poznańskie Centrum Dziedzictwa.

**Ewa Konarzewska-Michalak**

**Więcej informacji o CSE można znaleźć na stronie internetowej [www.csenigma.pl](http://www.csenigma.pl)**

i praktyki, obszarem naukowej krystalizacji wielu problemów społecznych; może być bardzo teoretyczna i bardzo praktyczna. Jestem przekonany, że ta Szkoła, podobnie jak i poprzednie, przyczyni się do dalszego rozwoju pedagogiki otwartej na ciągle nowe dyskursy i doświadczenia – powiedział.

Zebrani obejrzeli film poświęcony patronce, prof. Marii Dudzikowej, wysłuchali wspomnień jej współpracowników, a także wykładu inauguracyjnego, który wygłosił prof. Marek Kwiek. Po zakończeniu uroczystości uczestnicy pojechali do pałacu w Obrzycku, gdzie odbyła się Szkoła.

**Ewa Konarzewska-Michalak**



ZDJĘCIA NA OKŁADCE: ADRIAN WYKROTA

## WYDARZENIA

- 2 | Enigma zaczęła się w Poznaniu
- 2 | Międzypokoleniowe spotkanie pedagogów
- 4 | Super robot z CZT
- 5 | Poradniki Centrum Marketingu UAM

## NAUKA

- 6 | Dr Ruxandra Ana:  
Taniec prowadzi mnie przez naukę
- 8 | Dr Agnieszka Eleonora Zwolińska:  
Fitoplazmy przede wszystkim
- 10 | Opowieści z mchu i paproci
- 12 | Prof. Elżbieta Goździak:  
Zależy od dnia tygodnia...
- 15 | Wojciech Piątek. Najmłodszy profesor tytularny UAM
- 18 | Prof. Ewa Domańska i doktorant Michał Kępski:  
Warta – rzeka i dziedzictwo
- 20 | Dr Przemysław Kurek: Najciekawsze w badaniach  
są zwroty akcji
- 22 | Slam – nowa twarz poezji
- 23 | Polska pielęgniarka w Norwegii
- 24 | Dr Magdalena Zdrowicka-Wawrzyniak:  
Badania na końcu świata

## LUDZIE UAM

- 25 | Dr Ernestyna Skurjat-Kozek:  
Polka, Kościuszko, Strzelecki i antypody
- 28 | Prof. Łukasz Kaczmarek:  
Z profesorem na grzyby

## UAM NA ŚWIECIE

- 30 | GEOpraktyki w Tanzanii



## Super robot z CZT

Pierwsze ramię robotyczne w historii UAM uruchomiono w Centrum Zaawansowanych Technologii UAM na Morasku. Supernowoczesny sprzęt znajdzie zastosowanie m.in. przy wykonywaniu testów wykrywających przeciwciała przeciwko COVID-19. W uruchomieniu brała udział prof. Bogumiła Kaniewska, rektor UAM oraz Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania

**J**ak już wcześniej informowaliśmy, pracami zespołu naukowców, którzy skorzystają z pomocy robota, kieruje prof. UAM Jakub Rybka, który z pasją zajmuje się wykorzystaniem nanomateriałów w biotechnologii i inżynierii biomedycznej. Obok prac nad wspomnianym testem prowadzi również badania dotyczące stworzenia biodrukowalnej łąkotki

– Stoimy tu w gronie trzech moich znakomitych poprzedników. Profesorów: Marcińca, Marciniaka i Jurgi. Wszyscy panowie rektorzy uczyli mnie tego, że jeśli mówimy o synergii nauki i technologii, o synergii pokoleń, synergii miasta i uczelni, to CZT jest najlepszym miejscem, aby o tym mówić – wspominała w czasie prezentacji robota prof. Bogumiła Kaniewska. – Przyznaję, że czuję się dzisiaj jak w Matrixie, bo przyjechałam do Państwa z konferencji poświęconej Jarogniewowi Drwęskiemu, na której wspominaliśmy uniwersytet sprzed stu lat. A teraz staję przed robotem: projektem na przyszłość. Gratuluję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tego projektu.

– Jak wszyscy wiemy, rok 2020 to rok pandemii. W siedem osób pracowaliśmy nad testem immunodiagnostycznym i udało się go opracować. To dało nam rozpoznawalność w kraju i zwiększyło możliwości grantowe – mówił w czasie spotkania prof. UAM Jakub Rybka. – Teraz mocno pracujemy



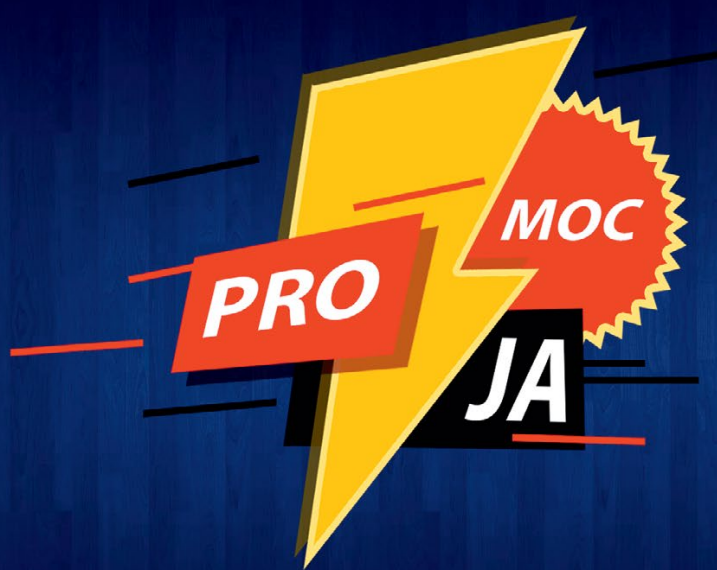
FOT. Z ADRIAN WYKROTA

nad szczepionką, a wyniki prac wydają się wielce obiecujące. Dzisiaj jednak mówimy o robocie. To on będzie wykonywał testy, ale i zajmował się biodrukiem. Automatyzacja spowoduje, że wyeliminujemy ludzką niedoskonałość i ustrzeżemy się potencjalnych błędów. Trzeba też dodać, że prace nad zautomatyzowaniem wykonywania testu przez ramię robotyczne, prowadzone są przy współpracy z firmami Rob-Tech oraz Cellivia.

– Z CZT współpracujemy już ponad dwa lata – dodał Damian Głowacki, wiceprezes ROB-TECH. – Przyciągnęła nas do tego miejsca otwartość na biznes i to ona skłoniła nas do umieszczenia tutaj naszych laboratoriów. Synergia nauki i biznesu tutaj naprawdę działa. Stworzony przez nas system będziemy chcieli rozbudowywać i dostosowywać do aplikacji, które będą aktualnie najbardziej potrzebne.

Jak zapewniają organizatorzy „spotkania z robotem”, misją Laboratorium Biotechnologii Stosowanej CZT UAM jest wyjście poza granice nauk podstawowych i połączenie odkryć akademickich z zastosowaniami w życiu codziennym. Zespół z Moraska dąży i dążyć będzie do nawiązania współpracy zarówno z podmiotami naukowymi, jak i przemysłowymi, aby napędzać innowacje w biotechnologii.

**Krzysztof Smura**



# Poradniki Centrum Marketingu UAM

Mówi się, że UW jest największym, UJ najstarszym, a UAM najlepszym polskim uniwersytetem. To mające wywołać uśmiech na twarzy stwierdzenie zasadniczo nie mija się prawdą. W końcu bycie najlepszym to nie tylko obiektywne fakty i osiągnięcia, ale także subiektywne przekonania, postawy i wyobrażenia, jakie o czymś mamy. Te z kolei nie są niczym innym, jak wizerunkiem, który można i należy świadomie kształtować.

**N**a co dzień o wizerunek uniwersytetu dba pięć sekcji Centrum Marketingu UAM: Sekcja Prasowa i Portali Społecznościowych, Sekcja Promocji, Sekcja Filmowa (Uniwersyteckie Studio Filmowe) oraz Życie Uniwersyteckie. Poza budowaniem wizerunku działania Centrum skupiają się na szeroko rozumianej promocji, komunikacji, popularyzacji nauki i wzmacnianiu relacji z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Jednak działania promocyjne i wizerunkowe na UAM to nie tylko domena Centrum Marketingu. W różnym stopniu są one podejmowane przez niemal każdą jednostkę uniwersytetu: wydziały, instytuty, zakłady, centra. Co więcej, jest to także obszar aktywności kadry naukowo-dydaktycznej, która prowadząc zajęcia akademickie, bądź uczestnicząc w konferencjach naukowych, świadomie bądź nie, buduje nie tylko własny wizerunek i markę osobistą, ale także wizerunek i markę UAM.

Promocja i wizerunek uczelni są zatem współzależne i jedynie synergia wielu podmiotów pozwala osiągnąć pożądany rezultat. Wobec powyższego kluczowe staje się ciągłe podnoszenie świadomości i kompetencji w rzeczonym obszarze, zarówno wśród pracowników administracji, zaangażowanych w tego rodzaju działania, jak i kadry naukowo-dydaktycznej. Dotyczy to zwłaszcza komunikacji w nowych mediach, która w czasach pandemii COVID-19 stała się dominującym obszarem budowania wizerunku i promocji.

Chcąc odpowiedzieć na te potrzeby, Centrum Marketingu



Adam Pietrzykowski – Sekcja Filmowa Uniwersyteckie Studio Filmowe (Łt. specjalista)

we wrześniu br. uruchomiło projekt „**PRO-moc-JA**”, którego celem jest dostarczenie społeczności UAM konkretnej dawki wiedzy praktycznej o promocji, budowaniu wizerunku i marketingu. **W ramach projektu każdego miesiąca udostępniane będą kolejne poradniki opracowane przez zespół CM. Pierwsze trzy to: techniczne ABC spotkań online i nagrań wideo, poradnik wyboru reklamodawcy oraz poradnik kontaktów z mediami.** Pierwszy to zbiór dobrych praktyk, związanych z wyborem mikrofonu, miejsca nagrania czy ustawienia światła i kamery, które pozwolą uzyskać najlepszy wizerunkowo efekt. Kolejny poradnik pokazuje krok po kroku, jak analizować oferty współpracy z agencjami reklamowymi, wydawnictwami czy mediami. Ostatni z poradników, wrześniowy, zawiera informacje, o czym należy pamiętać w kontaktach z mediami oraz jakie prawa i obowiązki mają zarówno dziennikarze, jak i ich rozmówcy.

► **Wszystkie poradniki dostępne są w Intranecie w zakładce Marketing. Mają formę artykułu z materiałem wideo oraz załączonym plikiem do pobrania i wydrukowania, który zawierał będzie esencję przekazu na jednej stronie.**

Gończo wierzymy, że ten projekt pomoże zarówno jednostkom, jak i pracownikom naukowo-dydaktycznym osiągnąć własne cele promocyjne i wizerunkowe, a w perspektywie długoterminowej przełoży się na poprawę wizerunku oraz zwiększenie siły naszej uniwersyteckiej marki.

**Adam Pietrzykowski**



Zajęcia grupowe na Warsaw Salsa Festival (2014 r.)

## Taniec prowadzi mnie przez naukę

– Tańcem naukowo zajmuję się od 10 lat. Bardzo często musiałam się z tego tłumaczyć, bo dla niektórych jest to temat naukowo nieistotny. Tymczasem badania, które prowadziłam wśród tancerzy na Kubie, pozwoliły mi uchwycić pewne przemiany ekonomiczno-społeczne, które zaszły w tym kraju w ciągu ostatnich kilku lat – mówi dr Ruxandra Ana.

**N**aukowcy, w ramach tegorocznej edycji grantów NCN Sonatina 5 otrzymała finansowanie na projekt: *Pomiędzy prekaryjnością a prestiżem. Praca migrantów w branży tanecznej w dobie kryzysu*. Swój grant będzie realizować na Wydziale Antropologii i Kulturoznawstwa UAM.

– Na Kubę trafiłam w 2011 roku, najpierw w roli „tańczącej” turystki, później w ramach badań do pracy magisterskiej, w której zajmowałam się kulturową polityką związaną z rumbą kubańską – mówi dr Ana. – Wróciłam tam jeszcze na przełomie 2015/2016 prowadząc badania do doktoratu. Było to tuż po wizycie Baracka Obamy i przywróceniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Kubą a USA. Rozpoczął się wówczas boom turystyczny. W trakcie mojego ponad dziesięciomiesięcznego pobytu obserwowałam, jak z jednej strony przybywało turystów, z drugiej zaś ubywało Kubańczyków. Część moich znajomych z klubów tanecznych zniknęła, emigrując do Europy i USA. Spotykałam ich tylko wtedy, kiedy na krótko wracali do kraju.

Jak mówi, sporo jest opracowań dotyczących migracji Kubańczyków do USA. Inne destynacje, w tym te do Europy, nie

są aż tak dobrze zbadane i opisane. Tymczasem we Włoszech, Niemczech czy nawet Polsce otwierają się kolejne szkoły tańca, gdzie można nauczyć się tańców latynoamerykańskich. Dużą popularnością cieszy się salsa, która doczekała się wielu festiwali i konkursów. Młodzi Kubańczycy, emigrując, szukają szczęścia i zawodowego sukcesu poza swoją ojczyzną. Dla wielu taniec jest taką szansą na sukces i drogą do prestiżu, z jakim kojarzy się międzynarodowa scena taneczna. Udać się to, niestety, niewielu. Pozostaje spora grupa tancerzy, którzy są na peryferiach „przemysłu tanecznego” i latami muszą walczyć o zatrudnienie.

Projekt, który dr Ruxandra Ana będzie realizować na UAM, dotyczy właśnie trajektorii podróży i losów tych tancerzy. Swoje badania będzie prowadzić we Włoszech i w Niemczech, gdzie osiedla się najwięcej kubańskich migrantów (oprócz Hiszpanii, specyficznej ze względu na historyczne więzi z Kubą i inne reżimy migracyjne). Ta perspektywa zostaje wzbogacona badaniami terenowymi na Kubie oraz w Polsce, gdzie diaspora kubańska jest znacznie mniejsza, ale za to mocno związana zawodowo z muzyką i tańcem.

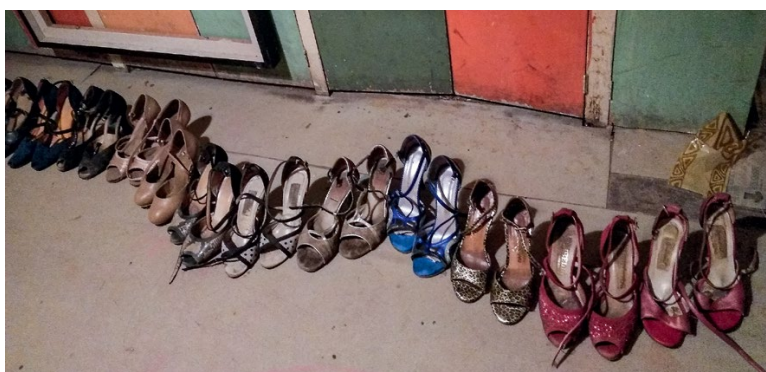
## Młodzi Kubańcy, emigrując, szukają szczęścia i zawodowego sukcesu poza swoją ojczyznę. Dla wielu taniec jest taką szansą i drogą do prestiżu



Dr Ruxandra Ana przygląda się zajęciom w szkole salsa w Hawanie (2018 r.)



Pokaz taneczny podczas Festiwalu Música Cubana en Berlin (2015 r.)



Używane buty do tańca w galerii sztuki Ojo del ciclón w Hawanie (2018 r.)

– Ciekawe jest to, że swoje badania prowadzę z pozycji migrantki, którą jestem od wielu lat, najpierw w Polsce, a od kilku lat we Włoszech – dodaje – Pomimo mojej uprzywilejowanej pozycji naukowczyni, migrantki z wyboru, tę solidarność odczuwam szczególnie mocno. Jako Rumunka musiałam mierzyć się zarówno w Polsce, a jeszcze bardziej we Włoszech, ze stereotypami, jakie przypisuje się migrantom z mojego kraju – mówi.

Zanim dr Ruxandra Ana trafiła do Włoch studiowała w Polsce. Jeszcze jako studentka filologii angielskiej na bukareszteńskim uniwersytecie zainteresowała się językiem polskim. Aby go lepiej poznać, zapisała się na kurs językowy. Pobyt w Warszawie sprawił, że zmieniła kierunek studiów i zaczęła studiować polonistykę, najpierw w Bukareszcie, a następnie w Katowicach i Warszawie. Potem pojawił się pomysł na studia antropologiczne i doktorat.

Tańcem dr Ruxandra Ana zainteresowała się, będąc już studentką. Początkowo miało to być wytchnienie od nauki. Oczarowana rumbą kubańską szukała instruktorów, którzy mogliby ją nauczyć tego tańca. – Zapisalam się do warszawskiej

szkoły tańca, ale równocześnie przeszukiwałam Internet – wspomina dr Ana. – Tak trafiłam na filmiki kubańskich tancerzy. Zorientowałam się, że uczą oni kroków zupełnie innych niż te, które poznałam na kursie. Zapytałam o to mojego nauczyciela, a on odpowiedział mniej więcej tak: „te czarne ciała nie potrafią się ruszać tak, jak te nasze białe”. Z jednej strony ta wypowiedź mnie oburzyła: taki dyskurs w XXI wieku? Z drugiej, zrozumiałam, że chcę zająć się tańcem szerzej. Uświadomiłam sobie, że jest w nim zawarta cała historia kolonializmu, rasizmu, ale też polityki i ideologii państwowej. Dr Ruxandra Ana jako miejsce realizacji swojego projektu wybrała Wydział Antropologii Kulturowej i Kulturoznawstwa UAM, bo jak mówi, Poznań to dobry „dom” dla jej projektu. – Zespół, w jakim pracujemy, ma duże znaczenie, a ja jeszcze na etapie przygotowania wniosku do NCN, kiedy nie było wiadomo, czy się uda uzyskać dofinansowanie, czułam się częścią tego zespołu. Zwłaszcza ze strony prof. Natalii Bloch, która była recenzentką mojej pracy doktorskiej, miałam ogromne wsparcie w kluczowych momentach przygotowania tego projektu.

**Magda Ziótek**



# Fitoplazmy przede wszystkim

Z **dr Agnieszką Eleonorą Zwolińską**, laureatką Sonatiny 5, która bada czynniki wpływające na efektywne przenoszenie i rozprzestrzenianie się fitoplazm, rozmawia Krzysztof Smura

## **Skąd zainteresowanie tematyką, ale przede wszystkim jak to się stało, że trafiła pani do IOR-u?**

Do Instytutu Ochrony Roślin – Państwowego Instytutu Badawczego trafiłam od razu po studiach. O tym, że poszukiwany jest pracownik na stanowisko bakteriologa w Zakładzie Wirusologii i Bakteriologii tegoż instytutu, dowiedziałam się od koleżanki ze studiów w dzień, kiedy pojechałam odebrać swój dyplom magistra. Ukończyłam kierunek biotechnologia na Wydziale Biologii UAM. Był to więc szczęśliwy zbieg okoliczności. Zostałam przyjęta, choć podobno miałam kontrkandydata. Przełożony, prof. Pospieszny, docenił jednak



## Rzepak jest jedną z roślin podatnych na fitoplazmy, a infekcje fitoplazmatyczne można obserwować w jego uprawach regularnie

moje doświadczenie zagraniczne, zdobyte podczas wyjazdu do Niemiec w ramach programu Socrates Erasmus. Początkowo zajmowałam się bakteriami, które zagrażają roślinom po zbiorze, a więc wywołują gnicie i rozkład tkanek. W tym czasie dowiedziałam się o fitoplazmach, bakteriach, które żyją w wiązkach przewodzących roślin i wywołują deformacje u roślin, ale nie dają się wyhodować na podłożach mikrobiologicznych. Fitoplazmy były wtedy tzw. gorącym tematem, gdyż jako słabo poznane organizmy skrywały wiele tajemnic. Stanowiły wymarzony temat pracy doktorskiej. Jednak, jak się okazało, rozpoczęcie badań w tematyce fitoplazm nie było proste. Po pierwsze, przeszkodą była dostępność materiału, gdyż jako początkujący naukowiec nie wiedziałam, jak rozpoznawać objawy chorób fitoplazmatycznych. Również wprowadzenie metod diagnostycznych, użyczonych nam przez inne laboratoria, zajęło sporo czasu, gdyż jak się okazało, metodykę trzeba było dopasować do polskich gatunków roślin i ich cyklu wegetacji. Tematyka fitoplazm została ze mną również po doktoracie. Jest to dla mnie niezmiennie fascynujący temat, dlatego ubiegałam się o grant, który umożliwi mi kontynuację badań.

### Gratulując Sonatiny, zapytam, czy to pierwszy tak poważny grant z pani udziałem?

Nie. Już wcześniej prowadziłam badania finansowane przez Narodowe Centrum Nauki. Były to projekty Preludium i Etiuda. Współpracowałam również w międzynarodowym projekcie, dotyczącym badania genów wirulencji fitoplazm, ufundowanym przez Human Frontier Science Program. W tym miejscu chciałabym podkreślić znaczenie wyjazdu na staż w projekcie Etiuda, bo to dzięki temu wyjazdowi możliwe było nawiązanie trwałej współpracy zagranicznej oraz wspólne ubieganie się o grant z organizacji HFSP.

### Temat „Czynniki wpływające na efektywne przenoszenie i rozprzestrzenianie się fitoplazm w środowisku na przykładzie organizmu *Ca. Phytoplasma asteris*.” brzmi dla laika groźnie.

*Candidatus (Ca.) Phytoplasma asteris* to zbiorcza nazwa gatunkowa fitoplazm, które będą badać. Słowo „*Candidatus*”,

oznacza gatunek kandydacki, a więc taki, którego pełna charakterystyka nie jest możliwa ze względu na niemożność uzyskania pojedynczego osobnika, a więc w przypadku bakterii – pojedynczej kolonii. Ponieważ jak dotąd nie upowszechniła się efektywna metoda posiewu tych bakterii do tzw. pojedynczej kolonii, to pracuje się na szczepie/szczepach, które zasiedlają konkretną roślinę. Możliwe jest wyizolowanie DNA fitoplazm z rośliny i przeprowadzenie ich pełnej charakterystyki genetycznej (uzyskanie sekwencji genomu). Możliwe jest również badanie przenoszenia fitoplazm przez pluskwiaki i wpływu bakterii na to przenoszenie. I tym będę się obecnie zajmować.

### Czy drobna bakteria, zamieszkująca roślinę, może przejąć dowodzenie nad owadem, żerującym na tej roślinie?

Okazuje się, że tak. Fitoplazmy wydzielają białka wirulencji tzw. efekторы, które osłabiają odpowiedź obronną roślin na atak roślinożerców, dzięki temu roślina zasiedlona przez fitoplazmy jest bardziej atrakcyjna dla owadów i wybierają ją do żerowania oraz składania jaj, a co za tym idzie, uczestniczą w rozprzestrzenianiu się fitoplazm.

### W pani pracy poważne miejsce zajmują badania rzepaku. Skąd ten wybór?

Rzepak jest jedną z roślin podatnych na fitoplazmy, a infekcje fitoplazmatyczne można obserwować w jego uprawach regularnie. Ponadto jest to znacząca dla Polski roślina uprawna o dużym areale w skali kraju, dlatego ważne jest poznanie warunków powstawania masowych zjawisk chorobowych, dotyczących rzepaku i mechanizmów ich rozprzestrzeniania się, w tym chorób fitoplazmatycznych.

### Z kim i pod czyją opieką będzie pani pracowała przy realizacji swojego projektu?

Badania będą prowadzone w Zakładzie Fizjologii Roślin we współpracy z dr hab. Ewą Sobieszczuk-Nowicką oraz z prof. Magdaleną Arasimowicz-Jelonek z Zakładu Ekofizjologii Roślin. Te zespoły naukowe mają wieloletnie doświadczenie w badaniu biologii roślin użytkowych i ich reakcji na stesy biotyczne.



Edukacja etnobotaniczna w Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy

# Opowieści z mchu i paproci

Natalia Jędrzejczak pisze doktorat w Zakładzie Botaniki Systematycznej i Środowiskowej UAM. Naukowo interesuje się reliktową grupą paproci z rodziny nasięźrzałowatych. Oprócz działalności naukowej, jest też przyrodnikiem i etnobotaniczką zaangażowaną w popularyzację wiedzy o roślinach. Razem z mężem założyła *Stowarzyszenie Promocji Dziedzictwa Kasztelania Ostrowska*. W ramach warsztatów przygotowuje wyjątkowe potrawy z ziół i innych dzikich roślin, rosnących na łąkach, w lasach i mokradłach

**J**uż sama nazwa tych paproci – „nasięźrzałowate” – to materiał na artykuł. Zygmunt Gloger w „Słowniku staropolskim” nazwę tę tłumaczy zbitką „na-się-źrzał”, czy „na-się-patrzał”. Jeszcze inne tłumaczenie to „na się zerka”. Kiedy dwoje młodych ludzi spotyka się, to „na się zerkają” i z tego zerkania niejednokrotnie rodzi się miłość. W mitologii słowiańskiej nasięźrzałowatym przypisywano właściwości magiczne i wykorzystywano je w praktykach miłosnych. Ze względu na posiadanie kłosów zarodniośnych i krótki okres wegetacji, utożsamiano je z mitycznym kwiatem paproci. W noc świętojańską kobiety nacierały się liśćmi paproci, aby zapewnić sobie powodzenie, miłość i dostatek. Paprocie w mitologii ludowej doczekały się wielu legend i przypowieści. Natalia Jędrzejczak skrzętnie je kolekcjonuje.

Paprocim poświęciła swoją pracę licencjacką, magisterską, a teraz i doktorat, szczegółowo opisując dwa gatunki: podejrzona księżycowego i nasięźrzała pospolitego. Badania prowadziła m.in. w okolicach Dziewiczej Góry, w Tatrach, Bieszczadach, czy nad Biebrzą. Jako ekolożka badała, jak poszczególne gatunki tych roślin dostosowują się do parametrów środowiskowych i jak na te warunki odpowiadają. Słowem kluczem w tych badaniach jest alokacja zasobów. Termin pochodzi z pracy „The Evolution of Life Histories” S. C. Stearnsa. Zdaniem autora, na losy poszczególnych roślin, ich dostosowanie do środowiska, a także strategie rozrodcze, wpływają istotne wydarzenia historii ich życia.

– Z roślinami jest troszeczkę tak, jak z ludźmi – tłumaczy Jędrzejczak. – Na wczesnym etapie naszego życia decydujemy, czy chcemy robić karierę, a potem założyć rodzinę, czy swój

czas i energię od razu zainwestować w potomstwo. Podobnie jest u roślin. W swoich badaniach staram się ustalić, czy paprocie rozmnażają się jako młode rośliny, czy może odkładają to na później. Sprawdzam, jakie to ma znaczenie dla nich i dla środowiska, w którym żyją.

Drugą pasją Natalii Jędrzejczak jest działalność społeczna. Jako zapalona etnobotaniczka wiele czasu poświęca na popularyzowanie wiedzy o roślinach. Etnobotanika zajmuje się wzajemnymi relacjami między kulturą i człowiekiem, a światem roślin. Natalia Jędrzejczak zauważyła, że w Wielkopolsce wiedza na temat dzikich roślin i ich zastosowań stopniowo zanika. Dlatego powstało stowarzyszenie Kasztelania Ostrowska, działające w okolicach Ostrowa Lednickiego. W jego ramach, wraz z grupą mieszkańców, organizują liczne warsztaty i szkolenia, popularyzujące wiedzę z zakresu etnobotaniki i ochrony przyrody.

Jednym z nich są cieszące się dużym zainteresowaniem warsztaty „dzikiej kuchni”. – Opieramy się na kuchni wielkopolskiej, ale w menu uwzględniamy też elementy paleodiety. Przepisy pochodzą częściowo z moich wywiadów etnobotanicznych, częściowo z publikacji naukowych, ale sama też uwielbiam gotować i eksperymentować w kuchni – mówi Natalia Jędrzejczak. W trakcie warsztatów powstaje od 8 do 10 potraw, przygotowanych z około 40 gatunków dzikich roślin. Każdy z kursantów dostaje też zielnik i informacje na temat roślin, które wcześniej jadł. Menu tych spotkań wbrew pozorom jest bardzo urozmaicone. Smażone placki z pokrzywy lub jasnoty białej jako przystawka. Sałatka z dzikich liści babki, ślazu dzikiego, a jeśli to maj, to z liści



Zbiory roślinne podczas warsztatów dzikiej kuchni

głogu i lipy. Do tego, aby potrawa wyglądała smaczniej, kwiaty dzikiego bzu czarnego, koniczyny łąkowej lub wyki ptasiej. Potem słowiańska polewka z warzywami, wzbogacona gwiazdnicą, komosą białą, ostrożeń warzywnym i portulaką. Następnie na stole pojawia się danie główne, czyli leczo z makaronem na modłę śródziemnomorską, z posmakiem dzikiego czosnku, gwiazdnicy i podagrycznika. Na koniec deser np. kwiatostany dzikiego bzu lub mniszka w cieście naleśnikowym, polane syropem z kwiatów lilaka lub dzikiej róży.

– Często na warsztaty zgłaszają się osoby, które poszukują jakiś spektakularnych smaków. I rzeczywiście potrawy „dzikiej kuchni” smakują specyficznie, inaczej, ale ich główną zaletą jest to, że przygotowujemy zdrowe jedzenie, pozbawione



Aromatyczne kwiaty koniczyny i wyki



Spacery botaniczne gromadzą wielu miłośników roślin

chemicznych dodatków. Warsztaty mają też promować pewien styl życia. Zależy nam, aby nasi uczestnicy wyciszyli się, zwolnili tempo. Rośliny najpierw zbieramy na łące, czy w lesie, potem je przygotowujemy. Obowiązkowym punktem warsztatów jest też wspólna biesiada – mówi Jędrzejczak.

Stowarzyszenie, któremu przewodniczy, prowadzi również ogródek miejski, który współzałożyli na poznańskim Łazarzu i przygotowało wystawy w Bramie Poznania i CK ZAMEK. Natalia Jędrzejczak nadal też aktywnie uczestniczy w ekspertyzach przyrodniczych. Na jedną z nich, na Pomorze, wybrała się z dwumiesięcznym synkiem. Jak mówi, jej działalność pokazuje, że nawet po założeniu rodziny, można realizować się zawodowo. I to z pasją.

**Magda Ziótek**



FOT. PRZEMYSŁAW STANULA

## Zależy od dnia tygodnia...

„Nie lubię określenia „kryzys migracyjny”, bo jaki to kryzys? Tak, mamy kryzys, ale jest to kryzys polityczny i menadżerski, bo jako świat nie byliśmy przygotowani na przyjęcie dużej grupy ludzi. Ale sami uchodźcy nigdy nie są kryzysem, oni uciekają od kryzysu, jakim jest wojna” – mówi **prof. Elżbieta Goździak**, antropolog, ekspert w dziedzinie badań migracyjnych, absolwentka UAM.

**Pomimo pandemii udało się pani ukończyć dwie książki i realizuje pani kilka projektów badawczych. Jak pani przeżywa ten okres?**

Trochę mnie bawi, że tyle osób narzeka na negatywny wpływ pandemii na ich produktywność. Nie mówię oczywiście o młodszych pracownikach naukowych, którzy mają małe dzieci. Ja jestem w dobrej sytuacji, moja córka ma 30 lat, a więc muszę się zająć jedynie moim mężem i psami. Mąż jest dość potulny, psy nie (*śmiech*). Nie wiem, czy mogę powiedzieć, że pandemia wpłynęła na moją produktywność, ale ze stresem radziłam sobie zwiększając wysiłki. Z jednej strony, dni się rozmyły, straciły strukturę, ale z drugiej można było robić to, o czym wcześniej się nawet nie myślało. Udało mi się napisać dwie książki. Jedną z nich „International Migration: A Quick Immersion” jest częścią serii, wydawanej przez wydawnictwo Tibidabo Publishing w Barcelonie, obejmującej najrozmaitsze tematy: od darwinizmu do czarnych dziur. Gdy wydawca zapro-

ponował mi współpracę, byłam oporna, gdyż nie miała to być książka, do jakiej my, badacze, jesteśmy przygotowani – czyli z przypisami, cytataми, napisana naukowym językiem. Miała to być pozycja przystępna dla laika, swego rodzaju powieść o migracji, dzięki której miałby on zrozumieć podstawowe zagadnienia związane z migracją i mobilnością ludności. Było to więc pewne pisarskie wyzwanie, ale teraz myślę, czy nie należałoby takich książek wydawać więcej? Bo artykuły oparte na naszych badaniach czytają głównie inni etnologowie – czy nie powinno się więc pisać też dla szerszej publiczności, tak, by więcej osób mogło z tej wiedzy skorzystać? Taki był właśnie zamysł wydawcy. Dyskusje o książce prowadziliśmy w czasie silnych nastrojów antyimigracyjnych. Wydawca, Antoni Comas, powiedział mi, że ludzie powinni mieć jakieś źródło wiedzy, by przy niedzielnym obiedzie w rozmowach z członkami rodziny mieć argumenty dla obu stron zrozumiałe. Pod tym kątem właśnie pisałam, by wyposażyć czytelnika w wachlarz argumentów.

### Jakie to są argumenty?

Pierwszy: migracja to nie jest nowe zjawisko. Wspomniałam o migracji pierwszych ludzi w Afryce; również o tym, że migracja międzynarodowa, o której tyle ostatnio się słyszy, jest o wiele mniej liczna niż liczba osób migrujących w obrębie kraju. Dobrym przykładem są Chiny, gdzie z rolniczych społeczności migruje się do dużych miast. Tam dla igrzysk olimpijskich trzeba było wybudować wiele nowych stadionów; niemożliwe było znaleźć tylu ludzi na miejscu, zachęcano więc do migracji. Staralam się pokazać w książce, że migrant to nie jest tylko słabo opłacany niewykwalifikowany robotnik, ale że migrantami są różni ludzie. Głównie młodzi. By być migrantem, trzeba być otwartym na świat, chcieć się czegoś dowiedzieć, dlatego nie powinniśmy widzieć w kimś takim awanturnika, ale podróżnika. Moim zdaniem, istnieje pewna stała równowaga między tymi ludźmi, którzy chcą siedzieć na miejscu, jak rolnik, przywiązany do ziemi, a tymi, którzy chcą wykorzystać swoje możliwości i znaleźć pracę w innych regionach świata. Spójrzmy, ilu Polaków migruje i migrowało. Po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku z Polski wyjechało prawie 800 tysięcy osób, głównie młodych ludzi, między 18. a 25. rokiem życia. Chłonni świata, chcący się kształcić... Dawałam takie przykłady, żeby czytelnik zrozumiał, że to nie było tak, że nagle, w 2015, wszyscy w Syrii postanowili wyjechać do Europy. Musimy spojrzeć na to historycznie, z perspektywy dłuższego okresu czasu. Nie możemy też dzielić świata na „my” i „oni”: musimy pamiętać, że i „my” byliśmy „nimi”. W Polsce, gdzie silne są antyislamskie nastroje, ludzie nie pamiętają, że w czasie II wojny światowej Iran przyjął 20 tys. Polaków, głównie katolików. I jakoś świat się nie zawałił: jedni zostali w regionie, drudzy wrócili po wojnie do Polski.

Dużo osób, nawet w tych krajach, które nie chciały przyjąć uchodźców, podkreślało, że przyjmą kobiety z dziećmi, ale

## By być migrantem, trzeba być otwartym na świat, chcieć się czegoś dowiedzieć...

nie tych młodych mężczyzn, w markowych tenisówkach, z iPhone'em... Te osoby nie zdają sobie sprawy, że tam, skąd pochodzą ci młodzi mężczyźni, mieli oni dwie możliwości: albo wstąpić do armii Asada, albo zginąć z rąk armii Asada. Paradoksalnie, w tym piekle wojny kobiety miały trochę lepiej: kulturowo nie stanowiły zagrożenia, nie mogły zostać partyzantkami, tymczasem ci młodzi mężczyźni tak.

### A jak sprawa ma się z emigrantami zarobkowymi?

Niektórzy ekonomiści argumentują, że gdybyśmy płacili fizycznym robotnikom dobre stawki godzinowe, to przekonalibyśmy do pracy lokalnych mieszkańców... ale to nie jest prawda. Mieszkam w USA – nie ma szans, by biedny Amerykanin ze Wschodniego Wybrzeża, bez samochodu, pojechał zbierać pomarańcze na Florydzie lub jabłka w stanie Waszyngton. Do tej pracy załapie się Meksykanin czy ktoś z Salvadoru, sezonowi migranci, którzy organizują sobie grupę i od lat zbierają owoce. I gdyby zaproponować zasiedzialemu Amerykaninowi nawet 30 dolarów za godzinę, wątpię, aby było dużo chętnych. To są ciężkie, fizyczne prace, do których lokalni ludzie się nie garną. Prowadzę też badania nad polskimi pielęgniarkami w Norwegii. Widzimy, że studiujące Norweżki widzą siebie nie jako salową czy siostrę przy łóżku, ale jako kierowniczkę oddziału. Kto w takim razie ma się bezpośrednio zajmować pacjentem? Najczęściej pielęgniarka-migrantka. Dziewczynie, która wyjeżdża za granicę, szpitale czy domy opieki oferują stypendia: dostaje wynagrodzenie za pracę kilka dni w tygodniu, a w pozostałym czasie może pójść do szkoły lub na kurs – to się jej, w odróżnieniu od Norweżki, po prostu opłaca. Pisałam także o tym, że ludzie powinni spojrzeć na swoje własne środowisko. Kto z ich otoczenia chciałby wykonywać takie zawody? Właśnie do tego potrzebny jest nam imigrant. →

**Mam duże przywiązanie do słowa uchodźca. Gdy przyjechałam do USA w latach 80., nie byłam nikim innym, jak kobietą-uchodźcą. Przekłada się to również na moją pracę: gdy robię badania z uchodźcami, to owszem, różnimy się bardzo, ale gdy mówię, że również przyjechałam do Stanów bez dokumentów, to ha! Pojawia się isierka porozumienia**

#### **A o czym jest druga książka?**

O handlu ludźmi – to kontynuacja mojego zainteresowania tym tematem. Kto śledzi tę tematykę, wie, że jest ona łatwym narzędziem propagandy. Zawsze tak jest: z tematu migracji przechodzi się do tematu handlu ludźmi. Proszę spojrzeć na Frontex: w 2015 mówiło się, że migranci umierają na łodziach, a rok później słyszymy o procederze handlu ludźmi. Prowadziłam wykłady na temat handlu ludźmi na jednym z tureckich uniwersytetów. Uczestniczyli w nich studenci-uchodźcy. W trakcie zajęć nagle jeden młody człowiek zgłasza się i mówi: „No tak, ja jestem ofiarą...”. A drugi mu na to: „Ty jesteś ofiarą handlu ludźmi? Przecież byliśmy na tej samej łodzi!”. Zaczęła się dyskusja, w której chłopak przyznał, że kazano mu taką narrację prowadzić. Spytałam go: „To powiedz nam, dlaczego uważasz, że jesteś ofiarą?”. Okazało się, że jego przewoźnik wziął więcej pieniędzy niż się wcześniej umawiali i podróż trwała dłużej, niż się spodziewał. Widzi pani, czasem takie narracje konstruowane są przez NGOsy, przez rządy, czy Frontex, żeby coś, co normalnie byłoby nazwane migracją lub uchodźstwem, zostało zaklasyfikowane jako handel ludźmi.

#### **W Polsce w kontekście tzw. kryzysu migracyjnego sporo mówiło się o możliwych kontaktach uchodźców z Państwem Islamskim. Przedstawiano to jako źródło potencjalnego zagrożenia. To też manipulacja?**

Kto był największym krzykaczem w Europie, jeśli chodzi o tego rodzaju zastrzeżenia? Polska, która przyjęła może pięciu Czechenów. Tymczasem na Węgrzech, gdzie w ciągu paru tygodni przyjęto prawie 400 tysięcy, w większości muzułmanów, były trzy przypadki możliwych powiązań

z organizacjami terrorystycznymi, od razu wykryte i to nie przez policję węgierską, ale służby europejskie. W Europie większość zamachowców to ludzie urodzeni w Europie, w drugim czy trzecim pokoleniu – to nie jest ktoś, kto miał wcześniej kontakty z ISIL. Moim zdaniem, te argumenty to przesada, kruczek i wymówka dla rządzących.

#### **Mówi się, że w większości migranci to osoby i rodziny, które nie chcą integrować się z otoczeniem.**

Być może, ale czyja to wina? Państwa. Francja jest tego najlepszym przykładem. We Francji można dostać za darmo najlepsze wykształcenie, zrobić doktorat na Sorbonie. Ale gdy chce się później pracować, ale ma się nazwisko, które sugeruje pochodzenie z Algierii czy z innych dawnych kolonii, to tak łatwo pracy się nie dostanie. Czyja to wina? Z jednej strony dajemy możliwość edukacji, z drugiej ograniczamy dostęp do rynku pracy. Nie powinniśmy też mieszać religii z terroryzmem. Mamy taki stereotyp uchodźcy: młodego muzułmanina, który nie kieruje się żadnymi wartościami. Ale ja nie spotkałam żadnego przedstawiciela większych religii, który miałby inne zasady niż: „Nie zabijaj, nie cudzołóż...”. Wszędzie to samo!

#### **A pani kim się czuje?**

To zależy z kim rozmawiam. Nigdy nie używałam sformułowania „Polish American”, chociaż nim jestem, bo ma ono polityczne konotacje „konserwy”. Mam za to duże przywiązanie do słowa uchodźca. Gdy przyjechałam do USA w latach 80., nie byłam nikim innym, jak właśnie kobietą-uchodźcą. Przekłada się to również na moją pracę: gdy robię badania z uchodźcami, to owszem, różnimy się bardzo, ale gdy mówię, że również przyjechałam do Stanów bez dokumentów, to ha! Pojawia się isierka porozumienia.

W Polsce z kolei czuję się bardziej poznanianką niż Polką. To wszystko zależy, komu człowiek się przyzna i do czego. Czasami muszę się bronić – jestem Polką, Polska mnie wyedukowała, wychowała, dlatego przyjeżdżam tu, by się odwdziżyć. Mogłabym zostać w USA, już blisko emerytury jestem, nie muszę tutaj pracować..., ale chcę trochę Poznaniowi i uniwersytetowi oddać.

#### **Czyli nie ma prostych odpowiedzi.**

Nie, nie ma prostych odpowiedzi. Lubię mówić, że moja tożsamość zależy od dnia tygodnia.

**Rozmawiała Magda Ziółek**

---

**Prof. Elżbieta Goździak** jest absolwentką UAM. W latach 80. uzyskała stopień doktora w Katedrze Etnografii, a krótko po tym wyemigrowała do USA, gdzie mieszka do dzisiaj. Pracowała m.in. na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie; jest także profesorem wizytującym w Instytucie Antropologii i Etnologii UAM oraz członkiem zespołu Centrum Badań Migracyjnych UAM.

---



# Wojciech Piątek. Najmłodszy profesor tytularny UAM

Prof. Wojciech Piątek z Wydziału Prawa i Administracji nie jest poznaniakiem z urodzenia. Najmłodszy tytularny profesor UAM przyszedł na świat w 1983 roku w Bielsku Białej. Wrodzona wada serca spowodowała, że lekarze nakazali zmianę miejsca zamieszkania. Rodzice wybrali Poznań.

– Jestem w Poznaniu „od zawsze”. Czuję się lokalnym patriotą, poznaniakiem. Kibicuję Warcie i Lechowi. Gdzie tylko mogę, podkreślam, że jestem ze stolicy Wielkopolski – mówi profesor – Ukończyłem liceum św. Marii Magdaleny i gdy przyszedł czas wyboru, zdecydowałem się na studia na politologii i prawie. Dostałem się na oba kierunki. Zdecydowałem, że zostanę prawnikiem.

Profesor znany jest ze swojej natury człowieka uporządkowanego i lubiącego pracę w zaciszu gabinetu. Po mieście

porusza się rowerem i na nim przyjechał na nasze spotkanie. Wybrał prawo i postępowanie administracyjne, ponieważ był przekonany, że to przyszłościowy, choć mało widowiskowy kierunek. Jak sam podkreśla, koleżanki i koledzy decydowali się na prawo handlowe, europejskie czy finansowe. On znalazł dla siebie niszę i, jak mówi, jest z tego powodu bardzo zadowolony. Na początku drogi naukowej były obawy o doktorat, ale okazało się, że znalazły się dwa miejsca w ówczesnej Katedrze Postępowania Administracyjnego. →



Collegium  
Iuridicum  
Novum

Aplikował i trafił na krótką listę. Szybko doszedł do wniosku, że zajmowanie się tylko prawem polskim to za mało.

– Stwierdziłem, że ograniczenie się do Polski sprawi, że mało kto będzie chciał mnie słuchać za granicą. Trzeba było pójść szerzej w kierunku tematyki sądownictwa administracyjnego i nie tylko. Oprócz procedur sądowych należało uwzględnić ustrój, efektywność sądownictwa, sposób jego działania. Dzisiaj to moja pasja. A do tego wszystkiego specjalizuję się w prawie porównawczym – mówi.

Profesor jest kierownikiem Szkoły Prawa Niemieckiego. Zdecydował język, w którym czuje się świetnie. Dodatkowym argumentem jest sąsiedztwo oraz wywodzenie się systemu polskiego postępowania administracyjnego od matki Austrii. Polska przeszczepiła bowiem nie tylko procedurę administracyjną z regulacji austriackiej, ale też rozwiązania, dotyczące sądownictwa administracyjnego. – Dziś mało kto o tym wie, ale już przed I wojną światową mieliśmy kilku Polaków, którzy byli sędziami utworzonego w 1875 roku Trybunału Administracyjnego w Wiedniu. Po I wojnie światowej to byli najlepiej wykształceni prawnicy administratywiści. To oni przenieśli austriackie rozwiązania na polski grunt – wyjaśnia.

Profesor idzie dalej. Niemiecki to jedno, ale przecież korzenie prawa administracyjnego tkwią we Francji. Co to oznacza? Trzeba poznać język francuski. – Niestety, nie jestem typem językowca, więc nauka zajmuje mi sporo czasu. Tym niemniej horyzont jest coraz bliżej – śmieje się prof. Piątek.

Najmłodszy profesor tytularny UAM na pytanie, co dalej, odpowiada: – Wiele osób pyta mnie: co teraz będziesz robił? Profesury nie postrzegam jako finiszu, ale jako początek przygody z nauką. Wyzwań mam sporo i to zarówno na poziomie polskim, jak i europejskim. Mam swobodę. Także w kwestii oceny mojej pracy. Profesura sprawiła, że udało mi się szerzej zaistnieć i to nie tylko w środowisku uniwersyteckim. Bywam

ekspertem w postępowaniach arbitrażowych, sporządzam opinie i analizy. Niegdyś mówiono mi, że to habilitacja będzie przełomem. Dla mnie jest nim profesura.

Słowa naszego rozmówcy niemal natychmiast znajdują potwierdzenie. W dniu, w którym się spotkaliliśmy, nie mieliśmy za dużo czasu, bo prof. Piątek był tuż przed wylotem do Rzymu. Tym razem wyjazd był związany z zaproszeniem do włoskiego projektu „W poszukiwaniu wspólnych źródeł postępowania administracyjnego”. – Aktem prawnym, który miał przełomowe znaczenie dla procedury administracyjnej w Europie, była austriacka ustawa o postępowaniu administracyjnym z 1925 roku – mówi prof. Piątek. – Potem wiele państw, w tym Polska, przenosiło te rozwiązania do swoich krajowych systemów.

W ramach badań naukowcy chcą poddać analizie, jak przebiegał proces owego przeszczepiania. Jakie instytucje, jakie regulacje i w jaki sposób były przejmowane i dostosowywane do lokalnych potrzeb? A także, jak postępowanie administracyjne funkcjonuje dzisiaj? Prof. Piątek jest w gronie specjalistów ekspertem od polskiego procesu administracyjnego. Konferencja w Rzymie znajdzie podsumowanie w postaci wspólnej publikacji nakładem wydawnictwa Uniwersytetu Oksfordzkiego.

Nasz rozmówca w 2010 roku zdał egzamin sędziowski. Obecnie pracuje w Biurze Orzecznictwa Naczelnego Sądu Administracyjnego. Zajmuje się pracą koncepcyjną, badaniem jednolitości orzecznictwa, pomocą w rozwiązywaniu szczególnie skomplikowanych problemów prawnych. – W stosunku do prawników często formułowany jest zarzut, że nie zajmują się nauką, tylko siedzą w kancelariach i sądach, zarabiając pieniądze. Uważam, że jeżeli pracuję w Zakładzie Postępowania Administracyjnego i Sądowo-administracyjnego, to muszę mieć żywy kontakt z tym postępowaniem. Moim zdaniem,



trzeba łączyć naukę z praktyką, bo inaczej trudno będzie odpowiedzieć studentom na pytania o praktyczną stronę działania prawa, a tego często od wykładowców oczekują. Zgadzam się jednak również z tym, że praca praktyka nie może tamować kariery naukowej. Nie można być naukowcem dwie godziny w tygodniu, w czasie przyjazdu na wydział.

Mimo braku czasu profesor z premedytacją prowadzi czasami szkolenia dla pracowników administracji publicznej. Robi to, bo jak powtarza, chce mieć do czynienia z postępowaniem administracyjnym u źródła. Zauważać problemy ludzi i poznawać perspektywę ich działania. Słowem, łączy spotkania z pracownikami organów administracji publicznej z pracą w sądzie i na uczelni. Na pytanie, co jest dla niego najważniejsze: nauka, dydaktyka czy praktyka, po chwili zastanowienia odpowiada, że nauka, ale szybko dodaje, że bardzo ważna jest dydaktyka. Lubi zajęcia ze studentami i często mówi, że odkrywa geniusz młodych ludzi.

– Im bardziej się starzeję, tym bardziej zauważam, że mamy naprawdę wybitnych studentów i studentki. Mądrych, z szerokimi horyzontami. Jestem zachwycony potencjałem młodego pokolenia. Nie dość, że ma ono świeże spojrzenie, to jeszcze wskazuje mi czasem, gdzie popełniam błędy. To genialne. Praca z młodymi jest przyjemnością, a dodatkowo mogę liczyć na ich pomoc. Tak jest choćby w przypadku mojej doktorantki Jadwigi Kopeć-Jakimiec, która pomaga mi w Szkole Prawa Niemieckiego, czy doktoranta Igora Gontarza, który zwraca uwagę na znaczenie nowych technologii dla rozwoju prawa. Od lat też świetnie współpracuje mi się z dr. Janem Olszanowskim, a od niedawna z nowym adiunktem w naszym zakładzie, dr. Andrzejem Paduchem – mówi.

Wśród mistrzów profesor jednym tchem wymienia prof. Romana Hausera i prof. Andrzeja Skoczyłasa. Jak podkreśla, obaj panowie wywarli bardzo duży wpływ na jego rozwój naukowy. Bez ich wsparcia, pomocy i życzliwości na pewno nie byłby dzisiaj profesorem.

W międzynarodowym gronie prof. Wojciech Piątek współpracuje głównie z naukowcami z Grupy Wyszehradzkiej. To pracownicy wydziałów prawa Uniwersytetu w Bnie, Uniwersytetu Komeńskiego w Bratysławie oraz Uniwersytetu w Budapeszcie. – Wie pan, to niezwykle, ale stanowimy grupę ludzi, która często rozumie się bez słów. To niepojęte, jak bardzo zbieżności kulturowe zbliżają świat nauki. Specyfika prawa, ale też funkcjonowania naszych uczelni sprawiają, że nasza współpraca jest bardzo intensywna – podkreśla.

W trakcie naszego spotkania nie mogło zabraknąć pytań o sytuację sądownictwa w Polsce. – Na to, co się dzieje, patrzę z troską i dużym zaniepokojeniem. Najgorsze dla mnie jest to, że zatraciliśmy zdolność dyskusji, rozmowy, wzajemnego słuchania. Widzę dwie strony sporu. Każda ma swoje racje i nie słucha, co mówią inni. Bardzo na tym cierpią studenci prawa. Mają w sobie wiele ideałów i zapału, a widzą, że arbitralnymi posunięciami polityków można naruszyć pryncypia, które wydawało się, że są święte. Wiadomo, że sądy wymagają

## Najmłodszy profesor tytularny UAM

na pytanie, co dalej, odpowiada:

**– Wiele osób pyta mnie: co teraz będziesz robił? Profesury nie postrzegam jako finiszu, ale jako początek przygody z nauką.**

zmian, ale jest też pytanie, czy po kilku latach reform jest lepiej, czy gorzej? Moim zdaniem, reformy nie tylko nie rozwiązały niedoskonałości, ale wręcz je pogłębiły. Pojawiły się też kolejne – dodaje.

A jak rzeczywistość arbitralnych decyzji i wzajemnych animozji wpłynie na jakość stosowania prawa w dłuższej perspektywie czasowej? To, co dzieje się wokół, nie pozostało bez echa w pracy naukowej naszego rozmówcy. „Normatywne sposoby budowania zaufania jednostek do sądów administracyjnych” to temat grantu z PRELUDIUM Bis, którego kierownikiem jest prof. Piątek. – Uznałem, że sądy są bezbronne wobec formułowanych wobec nich ataków. Wystarczy obejrzeć jeden odcinek telewizyjnej „Kasty”, by się załamać. Niestety, przekaz ze strony sądów w przestrzeni publicznej nie funkcjonuje. Jest taka maksyma, że „sędzia wypowiada się w wyroku”. Pytam więc, jaka może być odpowiedź sądownictwa na te ataki? I szukam odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób sądy mogą budować zaufanie? W jaki sposób mogą brać udział w dyskursie społecznym? Moim zdaniem, funkcjonujący u nas model kontaktu sądów ze społeczeństwem jest tradycyjny i skostniały. Sędzia niemal nie może się uśmiechnąć do stron sporu, porozmawiać przed rozprawą ze znajomym adwokatem, wziąć udziału w demonstracji, bo wszystko to powoduje podejrzenia o stronniczość. To pytam, jak ma się bronić przed kreowaniem względem niego fałszywej rzeczywistości? – wyjaśnia. – Uważam, że sędziowie jako znawcy prawa, ludzie wykształceni, z bagażem doświadczenia życiowego, powinni mieć możliwość uczestnictwa w dyskursie publicznym szczególnie w kwestiach, które ich bezpośrednio dotyczą. Sfera kontaktu z mediami to kolejny problem. Prawnicy powinni pomóc dziennikarzom bez wykształcenia prawniczego zrozumieć świat prawa. W Norwegii jest grupa sędziów, która oferuje swoje usługi w tym zakresie. Powinno się szerzej zapraszać uczniów na rozprawy sądowe i prowadzić lekcje o prawie w szkołach. Powszechna edukacja jest tu jak najbardziej wskazana. Także przez nowoczesne środki przekazu. Oby zaprocentowała jak najprędzej.

**Krzysztof Smura**

**Ps Rozmowę przeprowadzono na początku lipca**



Doktorant Michał Kępski, prof. Ewa Domańska z Wydziału Historii

FOT. ADRIAN WYKROTA

## Warta – rzeka i dziedzictwo

Temat jak rzeka. Bo choć historia Poznania, która w sposób nierozłączny związana jest z Wartą, nie raz była przedmiotem badań naukowych, to temat ten stale rodzi pytania wymagające nowych studiów. Prof. Ewa Domańska i doktorant Michał Kępski z Wydziału Historii postanowili przyrzeć się związkom miasta i rzeki, i nadać im nowy nurt.

Ich inspiracją stały się promowane we współczesnej humanistyce badania dziedzictwa kulturowo-przyrodniczego, środowiska oraz wspólne zainteresowania badaczy historią lokalną i społeczną użytecznością wiedzy historycznej. Nowatorski projekt: „Dziedzictwo wody. Studium przypadku rzeki Warty w Poznaniu w XIX-XX wieku” zdobył finansowanie NCN w ramach programu PRELUDIUM BIS.

– Projekt wziął się z myślenia o znaczeniu wody we współczesnym świecie, zwłaszcza w kontekście zmian klimatycznych oraz przeobrażeń zachodzących w przestrzeni miasta. Zależy nam z jednej strony na panoramicznym ujęciu, które pokaże, jak można dzisiaj rozumieć „dziedzictwo wody”. Z drugiej zaś, nasz projekt bardzo mocno skupiony jest na konkretnym

## Projekt wziął się z myślenia o znaczeniu wody we współczesnym świecie, zwłaszcza w kontekście zmian klimatycznych oraz przeobrażeń zachodzących w przestrzeni miasta

mieście, na konkretnej lokalnej historii. Wielowymiarowe badania rzeki Warty na przestrzeni XIX i XX wieku posłużą jako podstawa do rozważań na temat dziedzictwa wody – tłumaczy Michał Kępski.

Ramy czasowe, w które wpisany został projekt obejmują ten wycinek historii Poznania, w którym nurt Warty uległ największym przeobrażeniom, a więc XIX i XX wiek. Zmiany te miały związek m.in. z budową twierdzy Poznań i działalnością hr. Edwarda Raczyńskiego, któremu miasto zawdzięcza pierwsze wodociągi. Naukowcy na warsztat wezmą też takie postaci jak Władysław Czarnecki czy Adam Wodziczko, aby na ich przykładzie pokazać, jak na przestrzeni wieków zmieniało się myślenie o rzece i czy ich działania mogą odpowiedzieć nam sposoby ochrony rzeki jako dziedzictwa. Pod uwagę będzie też brana historia najnowsza, obecna we wspomnieniach okolicznych mieszkańców i badana w ramach historii mówionej.

– Ważnym aspektem tego projektu jest próba przemyślenia pojęcia dziedzictwa w kontekście postawienia w centrum rozważań na ten temat zagadnień dotyczących gleby czy wody – stąd „dziedzictwo wody”. Częściej bowiem używa się tego terminu w ramach nauk humanistycznych niż przyrodniczych. Traktujemy je jako „pojęcia pomostowe”, tworzące przestrzeń nie tylko dla badań interdyscyplinarnych w ramach humanistyki, lecz także międzydziedzinowych. Ponadto, nasz projekt ma ambicje włączenia się w działania prewencyjne i ochronne. Mamy nadzieję, że w ich realizacji pomoże połączenie badań naukowych z działalnością społeczną i rozwinięcie współpracy pomiędzy uczelnią a różnymi instytucjami kultury, które zajmują się popularyzacją wiedzy, działaniami edukacyjnymi i animowaniem praktyk społecznych – mówi prof. Domańska.

Ten aspekt projektu realizowany będzie przez współpracę z Poznańskim Centrum Dziedzictwa – lokalną instytucją kultury, która zarządza zarówno Bramą Poznania, jak i Centrum Szyfrów Enigma. Jak podkreśla prof. Domańska, nieocenione będą tutaj dotychczasowe doświadczenia Michała Kępskiego (absolwenta historii i historii sztuki oraz specjalisty ds. spraw rozwoju w Poznańskim Centrum Dziedzictwa) w prowadzeniu działalności edukacyjnej i kuratorskiej.

– Zależy nam, aby wprowadzać badania naukowe poza przestrzeń uniwersytetu. Do popularyzacji wiedzy chcemy włączyć centra dziedzictwa, muzea i galerie sztuki, a także zaangażować się w działania artystyczne i badania inspi-

rowane sztuką. Dla nas to bardzo ciekawy, ale wymagający projekt – dodaje prof. Domańska.

Efektom realizacji projektu ma być doktorat Michała Kępskiego, a później także jego monografia autorska, przedstawiająca wnioski z badań. Profesor Domańska po cichu marzy o muzeum rzeki Warty, czy choćby wystawie jej poświęconej. Parafrazując promujące Poznań hasło żartuje, że „choćby rzeka jest warta poznania, a Warta jest rzeką Poznania, to w Poznaniu nie ma swojego muzeum” – istnieje natomiast Muzeum Miasta i rzeki Warty w Warcie. – Może uda nam się zainicjować archiwum społeczne Warty. Mam w tym względzie pewne doświadczenia – mówi Kępski. Wcześniej prowadziłem takie działania na Śródcie i wiem, że ta społeczność była chętna do rozmów na temat tego miejsca.

Projekt prowadzony w tak małym gronie narzuca pewien model pracy. Czy będzie to relacja mistrz – uczeń? – Pan Michał, tak jak inni moi doktoranci, są moją przyszłością i nie jest to z mojej strony kokieteria – tak właśnie myślę. Obserwujemy obecnie ważne zmiany zachodzące w nauce i jej organizacji, w tym wyłanianie się „akademickiej kultury prefiguratywnej”. To już nie tylko, a często nie tyle, starsi uczą młodszych, ile studenci zaczynają inspirować czy nawet „uczyć” swoich profesorów. Młode pokolenie interesuje się specyficznymi zagadnieniami, nie do końca rozpoznanymi (i traktowanymi ze zrozumieniem) przez nas, profesorów. Uwagę przykuwają badania dotyczące środowiska, emocji, dźwięków, kolorów, roślin, ruin i szczątków, zwierząt, żywności i żywności, jakie prowadzone są w awangardowych kontekstach humanistyki, którą przenikają krytyczne dyskusje na temat antropocentryzmu, europocentryzmu, idei postępu i nauki jako nadrzędnego sposobu tworzenia wiedzy. Młode pokolenie wyznacza nowe pola badawcze i ma wysokie oczekiwania. To dobrze, bo działa na profesorów mobilizująco. A wracając do pana Michała – myślę, że nasza relacja to wzajemne zobowiązanie; będzie oparta na obopólnie obowiązujących zasadach profesjonalizmu, odpowiedzialności, otwartości, szacunku i życzliwości – mówi prof. Domańska. – Chciałabym jeszcze dodać, że pozyskanie grantu to nie tylko poprzedzone żmudnymi badaniami sformułowanie interesującego projektu, lecz także długotrwałe i uciążliwe przygotowanie dobrego wniosku grantowego. Nie byłoby naszego sukcesu, gdyby nie nieoceniona pomoc Arlety Borowiak i Małgorzaty Chmielarz z Centrum Wsparcia Projektów UAM, którym chcielibyśmy w tym miejscu bardzo podziękować.

**Magda Ziótek**



FOT. ADRIAN WYKROTA

# Najciekawsze w badaniach są zwroty akcji

Z **dr. Przemysławem Kurkiem** z Wydziału Biologii, współautorem artykułu w *Nature*, opisującego niewykorzystany potencjał ptaków wędrownych w rozprzestrzenianiu roślin na północ, rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

## Jak znalazł się pan w zespole, który opublikował artykuł w *Nature*?

Dr Juan Pedro González-Varo z Uniwersytetu w Kadyksie, kierownik zespołu MobileLinks znalazł mnie przez Research Gate. Zainteresowały go moje prace odnośnie borsuka i rozsiewania nasion. Uznał, że byłbym dobrym kandydatem do współpracy i napisał do mnie. Gdy się spotkaliśmy, omówiliśmy metodykę, możliwości i zadania. Przez rok pod Krakowem zbierałem dane w terenie na tzw. wyłapywaczach nasion naszej własnej konstrukcji. Świetne doświadczenie.

## Wygląda na to, że opłaca się dbać o swój profil w Internecie.

Warto promować się w wielu miejscach, to jest jak w ekologii – ważna jest dywersyfikacja dróg i źródeł. Natomiast artykuł w *Nature* był w pewnym sensie przypadkiem – to opracowanie jest pierwszym efektem projektu i od razu z wysokiego C.

Ustalenia i założenia tego projektu skupiały się bardziej na ekologii i zróżnicowaniu struktury krajobrazu, wędrowności roślin i ptaków między biotopami. Po zebraniu danych i założeniu bazy okazało się coś, czego się nie spodziewaliśmy, bo nie było tego w hipotezach projektu – że istnieje niewykorzystany potencjał. To wcześniej nieopisana, ale bardzo interesująca ciekawostka, omawiająca pewien zgrzyt w ekologii wędrowców i rozsiewania. Ten przypadkowy efekt naszych prac okazał się na tyle ciekawy, że zasłużył na opublikowanie w *Nature*.

Inne badania, które prowadzę nad rozsiewaniem nasion w grądach pokazują, że doświadczenie w terenie jest absolutnie podstawowe, aby móc stawiać hipotezy. Oczywiście, czytanie jest bardzo ważne, ale może nam się wydawać, że wiemy wszystko, a po tygodniu badań okazuje się, że wyniki totalizatora sportowego są bardziej przewidywalne niż to, czym się zajmujemy. Ręce trzęsą się z nerwów, bo

nie wiemy, czy cokolwiek z tego wyjdzie. Stawiałem różne hipotezy – część się potwierdziła, ale pojawił się też świetny i zarazem zaskakujący wynik. W grądach rezerwatu Dębina ptaki odpowiadają za znikomy odsetek rozsiewanych nasion na rzecz ssaków drapieżnych. Okazuje się, że prym w endozoochorycznym przenoszeniu nasion wiodą tam... kuny. W życiu bym nie przypuszczał, że otrzymam takie wyniki! Z tego *Nature* nie będzie, bo to mały projekt – Miniatura z NCN-u, ale najciekawsze w badaniach są niespodziewane zwroty akcji.

### **Wróćmy do artykułu w *Nature*. Co dokładnie odkryliście?**

W przyrodzie istnieją z pozoru niewykorzystane potencjały. Jesienią, kiedy znakomita większość roślin w naszej strefie klimatycznej owocuje, ptaki, wśród nich drozdowate i pokrzewki, lecą na południe. Natomiast niewiele gatunków owocuje w okresie, który umożliwiałby zabranie nasion na północ, czyli możliwości rozprzestrzeniania w tym kierunku są mniejsze. I to jest ten ograniczony potencjał ptaków wędrownych w rozprzestrzenianiu roślin na północ, główne odkrycie, opisane w artykule. Ów ograniczony potencjał spowodował, że powrót niektórych gatunków roślin na obszary, z których zostały wyparte przez łądogłód, zajął i zajmuje znacznie więcej czasu niż przypuszczano. Paradoks Reida mówi o znacznie usprawnionej wędrowności roślin za sprawą zoochorii niż wynikałoby to z ich autochorycznych możliwości. Nasze wyniki stanowią mały aneks do tych ustaleń. To są złożone problemy i trudno je tu szeroko omówić, ale jesteśmy w trakcie analizowania tych koncepcji.

### **Jest pan współautorem monografii o borsuku europejskim. Co nowego mówi ta publikacja?**

Bardzo się cieszę, że pyta mnie pani o borsuka. Poprzednia monografia Sumińskiego o borsuku była świetnym opracowaniem opublikowanym w latach 70., ale choć kolejne wydania były aktualizowane, powstała luka. A trzeba przyznać, że badania nad borsukiem, chociażby na Wyspach Brytyjskich, bardzo mocno się rozwinęły. Pojawiło się dużo pytań, dotyczących m.in. oddziaływania zwierzęcia na środowisko. Okazuje się, że borsuk nieświadomie kształtuje różnorodność rozbudowując swoje norowisko. Gromadzi bardzo dużo materiału gniazdowego, w postaci suchych roślin zielnych i liści. Badania prowadzone wraz z zespołem prof. Jerzego Błoszyka wykazały, że jest to podziemny mikrokosmos dla kilkunastu gatunków roztoczy, które żyją w tych gniazdach. Dwa z nich są bardzo rzadkie, prawdopodobnie tam mają swoje optimum i zamykają cykl rozrodczy. Wcześniej badacze spotykali tylko ich dorosłe osobniki. U borsuka ciekawa jest regionalna zmienność biologii i ekologii rozrodu. Uznaje się, że gody zwierzęcia przypadają latem w lipcu, ale Brytyjczycy zaobserwowali, że może występować też ruja okołoporodowa. Młode rodzą się w lutym i wtedy niektóre samice są w stanie zająć w ciążę. Ale czy tak jest w Polsce? Zamontowałem fotopułapki w pobliżu

nor i pierwszej nocy nagrały się czterokrotne kopulacje pary borsuków w okresie okołoporodowym. Tylko ten jeden raz, później już nie. Mam to na zdjęciach – dowód, że u nas ruja wczesnowiosenna też występuje. Ostatnio z zespołem dr Agnieszki Ważnej badaliśmy też kwestię współzasiedlania nor. Wiadomo, że borsuki mogą zamieszkiwać nory wraz z lisami czy jenotami. Obserwowaliśmy nory współzasiedlone przez te gatunki ssaków. Okazało się, że młodych, które urodziły się w norach współzasiedlonych i przeżyły, wcale nie jest mniej niż w norach zasiedlanych osobno przez każdy z tych gatunków. W jednej z nor współzasiedlonych przez jenoty i borsuki stwierdziliśmy najliczniejszy w całych badaniach miot jenota, liczący aż 12 młodych.

### **Czytałam, że interesuje się pan historią biologii, zwłaszcza polskimi odkryciami zoologicznymi w XIX w. Jakie sukcesy mają Polacy na tym polu?**

Razem z moim kolegą Łukaszem Piechnikiem, pomysłodawcą i głównym motorem prac, zrealizowaliśmy projekt na ten temat, którego owocem jest książka „Ssaki neotropików odkryte przez polskich naturalistów”. W XIX w. intensywnie rozwijał się ruch naturalistów, oparty głównie na opisywaniu nowych gatunków i gromadzeniu jak największych kolekcji okazów flory i fauny z całego świata. Dzisiaj ludzie się z tego śmieją, ale wtedy taksonomia była podstawą poznania przyrody. Feliks Paweł Jarocki zapoczątkował niezwykle gabinet zoologiczny. Potrafił dokonać czegoś takiego nie w Paryżu czy Londynie, ale w Warszawie, metropolii buntowniczej, z punktu widzenia zaborców, kraju. Władysław Taczanowski rozwinął tę inicjatywę i podwoił liczbę eksponatów dzięki bardzo bogatemu Konstantemu Branickiemu, który był chory i sam nie mógł podróżować, ale za to chętnie finansował wyprawy innych kolekcjonerów. Jednym z emisariuszy, którzy przysyłali okazy z Ameryki Południowej, był Konstanty Jelski. W wyniku tej współpracy Taczanowski napisał fundamentalną książkę o ptakach Peru. Zainteresowaliśmy się ssakami, które były odkrywane przy okazji eksploracji ornitologicznych. Największym odkryciem była pakarana, nieznana wówczas nauce. Wyróżniono dla niej nową rodzinę gryzoni. To było coś! Później pałeczkę przejęli Jan Sztolzman i Jan Kalinowski. Gdy Polska odzyskała niepodległość, można było swobodnie ruszyć w teren. Badaczy było bardzo wielu, ale wszystko zaczęło się od Jarockiego, Taczanowskiego i Jelskiego. Zawdzięczamy im nasze miejsce w światowej nauce XIX w. To byli prawdziwi naturaliści, którzy odkryli ponad 20 taksonów ssaków (ptaków znacznie więcej). Zebraliśmy je w książce, zamieściliśmy w niej opisy, oryginalne zdjęcia, mapy pieczołowicie opracowane na podstawie różnych publikacji. Książka kosztowała nas 5 lat pracy. To jest nasz hołd złożony tym wielkim pasjonatom i badaczom, którzy swoją działalnością zasłużyli sobie na prawdziwy pomnik.

**Cała rozmowa na stronie [www.uniwersyteckie.pl](http://www.uniwersyteckie.pl).**

# Slam – nowa twarz poezji



FOT. ADRIAN WYKROTA

– Twierdzenie, zakorzenione w polskim dyskursie, że slam poetycki jest czymś gorszym i dlatego nie warto go badać, bo to ulotna rzeczywistość, jest krzywdzące – uważa Dagmara Świerkowska, która pisze pierwszą w Polsce pracę doktorską, poświęconą językowi slamu poetyckiego.

**D**agmara Świerkowska trafiła na slam poetycki przez przypadek w trakcie studiów magisterskich. – Dostrzegłam, że na turnieju slammerskim dzieje się coś, co jest literackim performancem – mówi doktorantka na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej UAM. – Ten nastrój chwilowości bardzo mi odpowiada – to, że mogę powiedzieć coś śmiesznego lub przeciwnie, poruszającego ważny problem społeczny, a oceni mnie wyłącznie publiczność.

Studentka szukała organizacji pozarządowej, w której poczułaby się potrzebna. I znalazła Fundację KulturAkcję. W sierpniu tego roku razem z fundacją współorganizowała Ogólnopolskie Mistrzostwa Slamu Poetyckiego, ale wcześniej przez kilka lat sama występowała na różnych turniejach slammerskich, z których najważniejsze były Mistrzostwa Świata Slamu Poetyckiego w Paryżu w 2019 roku.

Teraz absolwentka filologii słowiańskiej oraz polskiej pisze u prof. Małgorzaty Rybki pracę doktorską poświęconą wzorcom gatunkowym wypowiedzi slammerskich. To praca wyjątkowa, bo pierwsza tego typu w Polsce. – Z czynnej, bardzo zaangażowanej slamerki, jak czasem się śmieję: z ultraski slamu, stałam się kimś, kto o slamie pisze i stara się go promować – mówi.

A slam naukowego zainteresowania i promocji potrzebuje, bo w naszym kraju ma nadal opinię „brudnego dziecka” poezji. W 2004 roku na łamach „Gazety Wyborczej” Jerzy Jarniewicz napisał, że slam może zniszczyć sedno poezji, bo jest wykwitem kultury niecierpliwości – poetyckim fast foodem. Takie

myślenie, towarzyszące rodzimej kulturze od lat, skutkuje tym, że młodzież z polskich szkół jest przekonana, że pisać mogą tylko poeci i to doskonałe wiersze, a innych nie należy wyciągać z szuflady. Jednak kto ustala tę doskonałość? Czym ona dzisiaj jest? W slamie ważne jest to, że jest demokratyczny i doskonale odzwierciedla współczesny język polski.

Slam jest spotkaniem, podczas którego amatorzy prezentują swoją twórczość literacką. Podobnie jak inne formy twórczości oralnej z początku nie był napędzany nagrodami czy prestiżem. Kiedyś ludzie mówili teksty w celach wspólnotowych, żeby wywołać jakieś przeżycie. Slam wykorzystuje słowo i strukturę wiersza, ale slamerowi nie zależy, żeby przygotować doskonały pod względem formalnym wiersz, tylko by porwać tłum. Jest nawet takie hasło na slamach: najlepszy poeta nigdy nie wygrywa. Jeśli nie potrafi dobrze zaprezentować swojego tekstu – przegrywa z performerem, który może nie mieć doświadczenia literackiego.

Dagmara Świerkowska analizuje 9 tysięcy minut nagrań z ponad 100 turniejów slammerskich. Robi to po to, by pokazać, że slam ma inne cechy gatunkowe, niż tradycyjnie postrzegana poezja. Slamerzy rezygnują z wyrafinowanych metafor na rzecz przekazu multimodalnego – gestów, dźwięków, elementów parajęzykowych jak np. kłaskanie, skakanie, klaskanie. Wszystkie te środki są niezwykle istotne dla odbioru tekstu mówionego.

– Ustalając wzorzec gatunkowy wypowiedzi slammerskich – wyjaśnia – szukam cech wyróżniających, by pokazać odrębność slamu, ale jednocześnie odkrywam też podobieństwa, bo stwierdzenie, że slam nie jest poezją, byłoby nadużyciem. Wiele osób z tego środowiska definiuje się jednocześnie jako slamerzy/slamerki i poeci/poetki.

Dagmara Świerkowska uważa slam za bardzo ciekawy i nieodkryty obszar badawczy nie tylko dla literaturoznawców, językoznawców, ale również dla kognitywistów, socjologów, kulturoznawców. Polska literatura przedmiotu jest bardzo skąpa, ale publikacje poświęcone temu zjawisku pojawiają się w prestiżowych zagranicznych periodykach oraz monografiach wydawnictwa Routledge.

– W zachodniej nauce slam funkcjonuje jako nowa twarz poezji, naturalny etap jej rozwoju, polegający na wyjściu ze słowem do ludzi. Owszem, dobrze jest usiąść w fotelu i zatopić się w tekstach literackich, ale wiadomo, że niewiele osób to robi. Slam za to ma różnorodnych odbiorców, wśród których przeważają młodzi. Na Zachodzie traktuje się też slam jako metodę dydaktyczną – praktyka kreatywnego pisania w szkołach jest postrzegana jako skuteczny sposób na radzenie sobie z traumami. Cieszę się, że jeden ze slamerów, Smutny Tuńczyk, który uczy w szkole, wprowadza slam na swoje lekcje, co roku organizuje też warsztaty slammerskie dla młodzieży i pokazuje, że pisać może każdy. Chodzi o to, żeby slam był możliwą drogą, a nie czymś, co jest spychane na bok. Trochę wstyd, że w XXI w. ktoś patrzy na jakąkolwiek twórczość tylko jako na coś gorszego – podsumowuje Dagmara Świerkowska.

**Ewa Konarzewska-Michalak**

# Polska pielęgniarka w Norwegii

FOT. ADRIAN WYKROTA

W Polsce przyjęto się, że pielęgniarki na oddziale powinny szybko chodzić, szybko wykonywać czynności medyczne, być na zawołanie. To w Norwegii jest źle widziane. Okazuje się, że polskie pielęgniarki są tam upominane, ponieważ wprowadzają nerwową atmosferę do pracy. Pośpiech odbierany jest tam jako brak profesjonalizmu.

**P**rof. Izabella Main z Centrum Badań Migracyjnych UAM zakończyła właśnie badania w ramach grantu: Migration for Welfare: Nurses within Three Regimes of Immigration and Integration into the Norwegian Welfare State (WELLMIG). Projekt, którego liderem jest uniwersytet w Oslo, finansowany był z funduszy Norweskiej Rady Badawczej. W jego ramach zbadane zostały trzy najliczniejsze grupy imigrantów, którzy podejmują pracę w norweskiej ochronie zdrowia. Są to migranci ze Szwecji, Filipin i Polski. W ramach CeBaM obok prof. Izabelli Main udział w badaniach wzięli prof. Elżbieta Goździak i dr Marek Pawlak.

– Ten projekt był ciekawy i inspirujący z wielu powodów – mówi prof. Main. – Mieliliśmy okazje poznać styl pracy naszych kolegów i koleżanek z Oslo. Do projektu przystąpiliśmy z zadaniem opracowania losów polskich pielęgniarek i położnych. Jako, że nie znamy norweskiego, w podsumowaniu końcowych wyników nieoceniona była wymiana z norweskimi partnerami.

Wyniki badań pokazały, że polskie pielęgniarki w Norwegii mają się bardzo dobrze. Są cenione zarówno przez pracodawców, jak i pacjentów. Dla większości z nich praca w Norwegii to forma awansu zawodowego i szansa na lepsze życie. Badania pokazały, że nieprawdziwy jest stereotyp Polki pracującej w Norwegii głównie z powodów finansowych. Jak mówi prof. Main, aspekt finansowy jest dla nich ważny w momencie podjęcia decyzji o emigracji, ale w miarę upływającego czasu czynników przema-

wiających za pracą tam jest znacznie więcej. Pielęgniarki cenią sobie wolniejsze tempo pracy, mniej obowiązków i lepszą ich organizację, a także, co istotne, mniej odczuwalną hierarchię.

– W Norwegii każda osoba jest szanowana za swoją pracę, niezależnie czy jest lekarzem, pielęgniarką, czy pomocą medyczną. Pielęgniarki w wywiadach podkreślały, że czują się docenione, a koleżanki i koledzy – w tym również lekarze – liczą się z ich zdaniem. Co ważne, czuły też wsparcie ze strony pacjentów i ich rodzin. Norwegowie mają świadomość, że pielęgniarki są ważnym ogniwem w procesie leczenia. To, że są najbliższymi pacjentów sprawia, że mają największą wiedzę na temat stanu ich zdrowia – mówi prof. Main.

Polki na tle innych grup imigrantów wyróżniają się też ciepłym, emocjonalnym stosunkiem do pacjentów. Mimo, że Norwegowie w relacjach zawodowych trzymają dystans, ten styl pracy jest przez nich ceniony. Jak mówi prof. Main, norweskie społeczeństwo jest bardzo zróżnicowane etnicznie, co wymusza postawę tolerancji i przestrzeń również na taki czuły model opieki nad pacjentami.

Kolejne zjawisko, opisywane w wywiadach projektu WELLMIG, to afirmacja norweskiego stylu życia. Pielęgniarkom podoba się to, że mają większy kontakt z naturą, więcej czasu na rozwijanie zainteresowań pozamedycznych. Wiele z nich przyznało, że dopiero w Norwegii zaczęło uprawiać sport, w Polsce nie miało na to czasu. Norwegowie zakładają, że każdy ma prawo do czasu wolnego i bardzo dbają o to, aby odpowiednio zbilansować obie sfery życia.

Oczywiście w badaniach pojawiają się też negatywne strony emigracji. Pielęgniarki – mimo że są osobami wykształconymi – wyjeżdżając do pracy znajdują się w pozycji nieuprzywilejowanej. Muszą opanować nowy język, nie znają systemu: nie wiedzą, gdzie i na jakich warunkach znaleźć zatrudnienie. Dlatego większość z nich decyduje się na usługi firm pośredniczących w znalezieniu pracy. To sprawia, że często dochodzi do nadużyć. Podpisują umowę, w której oferowane jest zatrudnienie, nostryfikacja dyplomu, kurs językowy czy nawet mieszkanie. Po przyjeździe okazuje się, że praca jest na pół etatu lub w zastępstwie, a mieszkanie muszą dzielić z innymi migrantkami. Pielęgniarki podkreślały, że to utrudnia im kontakt z rodziną. Część z nich zrywa kontrakty i szuka pracy samodzielnie.

W wywiadach Polki narzekały też na współlokatorki. Te, które na początku swego pobytu mieszkały z Norweżkami, mówiły, że trudno było im się z nimi zaprzyjaźnić. Częściej zawierały znajomości z Łotyszkami, Litwinkami czy pielęgniarkami z innych krajów, natomiast Norweżki były raczej zamknięte, skoncentrowane na pracy. Polkom też nie podobało się, że w pracy nie ma przestrzeni na rozmowy o życiu prywatnym, co, ich zdaniem, utrudnia proces integracji w nowym miejscu.

Wyniki badań prof. Main i prof. Goździak zostały opublikowane w czasopismach International Migration i Ethnologia Europaea, a dr. Marka Pawlaka w Nursing Inquiry. Prof. Main wystąpiła też w jednym z odcinków Antropofonu – podcastu antropologicznego.

**Magda Ziótek**

# Badania na końcu świata



## Z dr Magdaleną Zdrowicką-Wawrzyniak

z Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego UAM, która przygląda się odbiorowi obrazu współczesnej Polski przez Polonię australijską w projekcie „Żona dla Australijczyka?” rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

### Skąd wzięła się Polonia australijska w pani badaniach?

Polonii w Australii towarzyszę od końca lat osiemdziesiątych, gdy najbliższa rodzina – wpisując się w falę emigracji po stanie wojennym – zdecydowała się właśnie w tym kraju osiedlić. Najpierw czytałam listy, w których bliscy opisywali rzeczywistość, słuchałam nagrań ich głosów z kaset magnetofonowych – nie było wówczas takich jak dziś możliwości kontaktu. Czytałam wtedy sporo na temat Australii. Później, gdy już zmieniła się sytuacja polityczna w Polsce i przedstawiciele Polonii mogli odwiedzić ojczyznę – trzeba wiedzieć, że spora część opuszczała kraj w przekonaniu, że nie będzie im tu nigdy wolno wrócić – bliscy i ich znajomi zaczęli przyjeżdżać w swoje rodzinne strony. Wtedy prowadziliśmy długie rozmowy, także o polonijnych środkach społecznego przekazu, formach pozyskiwania informacji o Polsce. Interesowało mnie to z jednej strony, ponieważ pracowałam jako dziennikarz, z drugiej natomiast zaskakiwała mnie wiedza o współczesnej Polsce, z jaką przybywali do niej przedstawiciele Polonii australijskiej.

### Co Polonia myśli o sytuacji w Polsce?

Z ostatniego australijskiego spisu powszechnego z 2016 roku wynika, że Polonia liczy około 182 tys. osób pochodzenia polskiego. Badania Australian Bureau Statistic pokazują, że

w Australii mieszka około 45 tys. osób urodzonych w Polsce, a językiem polskim w domu posługuje się około 48 tys. osób. O Polonii australijskiej nie słyszymy jednak dość często, na pewno nie tyle, ile o Polonii w USA w kontekście wyborów. O głosy Polonii australijskiej mało kto w Polsce zabiega, ponieważ to “koniec świata”, część Polonii zresztą deklaruje, że mimo możliwości – podwójne obywatelstwo – głosować nie będzie, nie chce decydować o sprawach kraju, w którym nie mieszka. Wyniki głosowania Polonii australijskiej, co można sprawdzić w zestawieniach PKW, są podobne do tych, które charakterystyczne są w Polsce dla dużych miast.

### Jacy są Polacy z antypodów?

Jak ocenia Michał Kołodziejcki, ambasador RP w Australii, zaledwie kilka procent Polaków jest zrzeszonych w organizacjach polonijnych, ale za to te funkcjonujące w dużych miastach działają niezwykle prężnie. Śmiało można powiedzieć, że są one wizytówką naszego kraju, wspierają ambasadę w promowaniu Polski. Jeżeli Polonia australijska, to automatycznie przychodzi mi do głowy wspólnotowość. Polacy – oczywiście ci, którzy szukają łączności z rodakami – pielęgnują więzi i działają dla wspólnego dobra, a jednocześnie nie zamykają się na inne kultury, na kontakty z innymi narodowościami. Idealnie wpisują się w wielokulturowość kraju, który wybrali na drugą ojczyznę. Wszyscy moi rozmówcy byli naprawdę niebanalni. Jestem im wdzięczna, że zechcieli mi opowiadać o swoich skomplikowanych losach, mimo że częstokroć pojawiały się wspomnienia, o których zapewne chcieliby zapomnieć. Wszyscy – mimo swych zawikłanych kolei losu w Polsce – z szacunkiem i ciepłem mówią o pierwszej ojczyźnie.

### Co spodobało się pani w Australii?

Na przykład to, że w zasadzie nikt nie zwraca uwagi na odmienność. To jest tu pewną normą, bo kto ma być traktowany jak obcy, który zawsze utożsamiany jest w jakiś sposób z wrogiem? Urzekła mnie ta otwartość na inność. Podzielałam też australijskie “no worries”, wszystko da się zrobić, tylko bez nerwów. Pośpiech jest także niewskazany. Zwłaszcza gdy termometr pokazuje okolice 40 stopni C.

### W tym roku wydała pani książkę “Między kropkami”. Dlaczego zdecydowała się pani ją napisać?

Przewidywałam wydanie monografii, przez pandemię nie zgromadziłam jednak dostatecznego materiału. “Między kropkami” jest trochę obok projektu. Nie jest to klasyczna monografia naukowa, choć praca zyskała recenzję dwóch wybitnych naukowców, ale swego rodzaju pamiętnik podróży, w którym dzielę się wrażeniami z wizyty w Canberze – mieście, które uznawane jest za jedną z najnudniejszych stolic świata. Publikacja odzwierciedla jednak przede wszystkim działanie na rzecz projektu, dokumentuje liczne spotkania z przedstawicielami Polonii australijskiej, działaczami rozmaitych organizacji, jak i ambasadorem RP w Australii.





# Polka, Kościuszko, Strzelecki i antypody

Z dr Ernestyną Skurjat-Kozek rozmawia Krzysztof Smura.

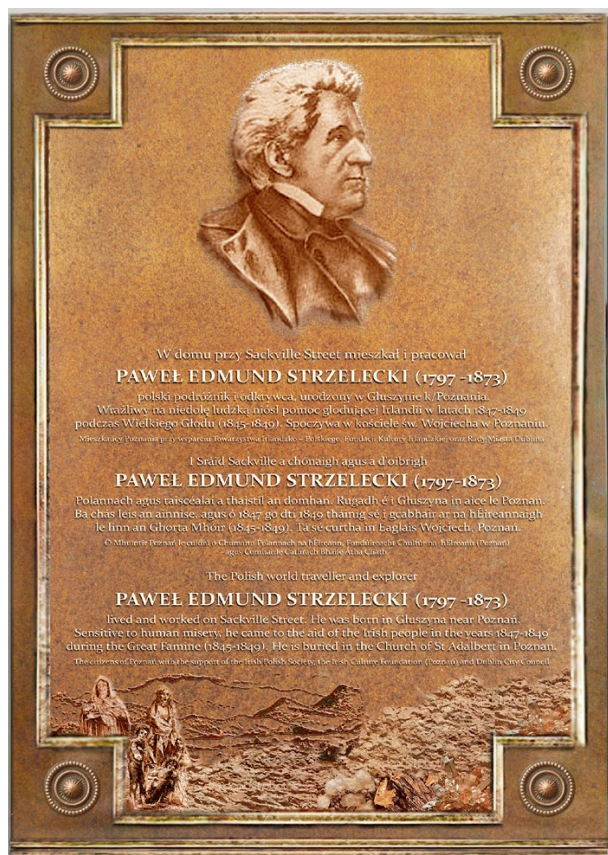
**Zaczynała pani w Głosie Wielkopolskim, marzyła o Akademii Filmowej, a ostatecznie trafiła do nigeryjskiej telewizji.**

**Jak to się stało?**

Krótko przed maturą marzyłam o studiach na Akademii Filmowej, chciałam być reżyserem. Kiedyś było na Politechnice Szczecińskiej spotkanie z rektorem Akademii Filmowej w Łodzi, prof. Toeplitzem, który powiedział mi, że na Akademię przyjmują dopiero po ukończeniu studiów. W tej sytuacji poszłam na polonistykę do Poznania. I dobrze, bo to był niezwykle czas w moim życiu: najwspanialszy wykładowcy, w tym profesor Ziomek i Edward Balcerzan oraz niezwykli koledzy, jak Staszek Barańczak, Ryszard Krynicki, Jasiu Komolka... Na moich oczach rodził się Teatr Ósmego Dnia. Od razu na I roku poszłam do Głosu Wielkopolskiego i powiedziałam, że chcę pisać. Zastępca naczelnego Wiesław Porzycki wziął mnie pod swoje skrzydła.

Po studiach zamarzyła mi się jednak nie Akademia Filmowa, tylko daleki egzotyczny świat, na czele z Afryką. Podjęłam

więc w Warszawie studia podyplomowe na Studium Afrykanistycznym, którego dyrektor, profesor Winid – niezwykle barwna postać – zaproponował mi asystenturę. I tak niespodziewanie zaczęła się moja kariera naukowa. Naturalną kolejną rzeczą trzeba było zrobić doktorat (z socjologii literatury afrykańskiej). Ale nadal siedziała we mnie dusza „literatki”, toteż jako specjalistka od kultury afrykańskiej udzielałam się w radio, gazetach i telewizji. Dużo też tłumaczyłam literatury afrykańskiej, mam w dorobku kilka książek i kilka antologii. Spróbowałam też swych sił w reżyserii, kiedy to z okazji jubileuszu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej zorganizowałam wielki koncert w Teatrze Dramatycznym. Kilkakrotnie podróżowałam do Nigerii. W pamiętnym roku 1981, na kilka miesięcy przed stanem wojennym, dostałam kontrakt w telewizji nigeryjskiej. Złożyłam podanie o urlop naukowy i wyjechałam do Nigerii z zamiarem zbierania materiałów do pracy habilitacyjnej. Praca w nowopowstałej, nowoczesnej stacji telewizyjnej w Enugu (ówczesny →



FOT. WOJCIECH OWSIANOWSKI

Tablica Pawła Edmunda Strzeleckiego w Dublinie

stan Anambra) była wielką przygodą i wielkim wyzwaniem. Realizowałam dwa programy, jeden młodzieżowy (*Debaters*), drugi dyskusyjny (*Golden Parlour*) z udziałem nowej elity nigeryjskiej. Co jednak najbardziej wspominam, to wizytę naszego papieża, dziś św. Jana Pawła II. Była to jego pierwsza pielgrzymka po wyzdrowieniu z ran po zamachu. Zanim papież do nas przyjechał, szef wysłał mnie do Watykanu po materiały, na podstawie których zrealizowałam program dokumentalny o Janie Pawle. „Łoćtyła” był tam bardzo popularny. Nadszedł rok 1984, koniec kontraktu.

**Zapewne z Nigerii było już „bliżej” do Australii, gdzie osiadła pani na stałe. Skąd ten wybór?**

Do „Polski Jaruzelskiej” nie chciałam wracać. W Nigerii miałam ofertę pracy jako visiting professor na uniwersytecie w Ile-Ife, ale w Nigerii robiło się coraz bardziej niebezpiecznie, powszechne były napady rabunkowe. W Australii mieszkała kuzynka, więc przyszło mi na myśl, że taka Australia, sielska i spokojna, na uboczu świata, to dobry wybór. Miałam ogromnie dużo szczęścia, że udało mi się zdobyć pracę w telewizji SBS, bardzo popularnym kanale dla wielokulturowej publiczności, czyli generalnie imigrantów. Nie była to praca stała, ale na kontrakcie. Trzeba było pomyśleć o stałym zatrudnieniu. Akurat tak się zdarzyło, że radio SBS ogłosiło nabór na dziennikarzy do sekcji polskiej. Działo się to w ramach tzw.

restrukturyzacji, czyli zastępowania kadry amatorskiej profesjonalistami. Udało mi się wygrać konkurs na pozycję „journalist” czyli osoby prowadzącej dzienniki i omawiającej bieżące wydarzenia. Proces biurokratyczny trwał koszmarnie długo, minęło prawie półtora roku od egzaminów do podjęcia pracy. W międzyczasie zdobyłam licencję taksówkarza i szalałam po metropolii sydneyjskiej, znajdując jeszcze czas na pisywanie artykułów do sydneyjskich *Wiadomości Polskich*. Pracę radiowca rozpoczęłam w lutym 1989 roku, akurat po obradach Okrągłego Stołu. Prócz dzienników robiłam wywiady oraz słuchowiska literackie ( akurat wtedy miałam do dyspozycji duże grono polonijnych aktorów), program „Nowości nauki i techniki” i masę innych rzeczy. Było wszystko z wyjątkiem Kościuszki i Strzeleckiego! Gdy przeszedłam na emeryturę w 2006 roku, zaczął się w moim życiu zupełnie nowy etap. Po pierwsze, zaczęłam prowadzić portal *Puls Polonii*, po drugie wyszłam za mąż za naukowca z Maquarie University, po trzecie razem z mężem zaczęliśmy działać na rzecz promocji Strzeleckiego i Kościuszki. Zaczęło się od tego, że natknęłam się na nuty dwóch polonezów i walca skomponowanych przez Kościuszkę. Mąż podsunął nuty koledze-profesorowi, który grał w orkiestrze amatorskiej. I tak oto doszło do historycznego koncertu na szczycie Góry Kościuszki: utwory Kościuszki zagrali *The Sydney Windjammers*, John Hospodaryk zaśpiewał swoje własne piosenki o Strzeleckim i Kościuszcze, byli też inni artyści, a polskie tańce góralskie wykonał zespół folklorystyczny Lajkonik. I ta impreza dała początek Festiwalom Kościuszkowskim, które przez lata organizowaliśmy pod Pomnikiem Strzeleckiego w Jindabyne nieopodal Góry Kościuszki. Nasza organizacja początkowo nazywała się Fundacja Kulturalna Pulsu Polonii, ale potem przerejestrowaliśmy ją na mniej skomplikowaną Kosciuszko Heritage.

**Pani praca w Kosciuszko Heritage jest powszechnie szanowana. Robi pani mnóstwo dla Polonii, jak i samej Polski, na odległym kontynencie. Jest pani mocno związana z Narodowym Parkiem Kościuszki...**

Dzięki wspomnianemu koncertowi na Górze Kościuszki nawiązaliśmy kontakt z dyrekcją Kosciuszko National Park. Wiele zawdzięczamy ówczesnemu dyrektorowi Davidowi Darlingtonowi. Nie tylko finansował występy tancerzy aborygeńskich na naszych festiwalach, ale co ważniejsze, skontaktował nas ze starszyzną plemienia Ngarigo, czyli tradycyjnymi kustoszami Mount Kosciuszko. Rozpoczęła się niezwykła, unikalna współpraca polsko-aborygeńska. Dzięki m.in. naszym staraniom Góra Kościuszki została w roku 2008 wpisana na listę Australijskiego Dziedzictwa Narodowego, a w dokumencie rządowym wspomniano o sojuszu kustoszy Ngarigo z Polonią, pielgrzymującą na Górę Kościuszki. Organizowaliśmy polsko-aborygeńskie loty przyjaźni nad Górą Kościuszki, co zwłaszcza dla staruszek aborygeńskich było niezwykłym przeżyciem. Z okazji 200-lecia śmierci

Kościuszki zabraliśmy grupę Aborygenów do Krakowa, na Kopiec Kościuszki i na międzynarodową konferencję. Wspólnie z Ngarigo radzimy się w kwestii proponowanej przez australijski establishment zmiany nazwy góry, czy raczej wprowadzenia podwójnego nazewnictwa. Dwa lata temu udało się nam zastopować ten proces, zobaczymy, co będzie dalej. Obecnie opracowujemy dla rządu stanowego raport, nawiązujący do rozbudowy niektórych terenów alpejskich, postulujemy delikatny balans między komercją (która szaleje), a ekologią strefy UNESCO. Przede wszystkim przedstawiamy naszą wizję ośrodka kulturalnego, Heritage Centre, który ma powstać w miasteczku Jindabyne. Tam się musi znaleźć miejsce dla Strzeleckiego i równie dla Australii zasłużonego Johna Lhotskiego!

**Po latach, dzięki współpracy w Wydawnictwem Naukowym UAM doprowadziła pani do wydania książki Lecha Paszkowskiego o Pawle Edmundzie Strzeleckim. Co stanowi o sile przekazu tej książki?**

Jest to jedyne na świecie rzetelne i kompletne kompendium życia i działalności Strzeleckiego. Paszkowski opublikował swą książkę w roku 1997. Zbierał do niej materiały przez niemal 40 lat. Super sumienny i cierpliwy badacz! Pisywał historyczne książki na inne tematy i być może nigdy by się nie wzięł za Strzeleckiego, gdyby nie to, że Australia zrobiła Strzeleckiemu wielką krzywdę – i wypadało ją naprawić! Tak więc pan Lech postanowił napisać wielką polemikę z australijską pisarką Helen Heney, która w swej książce *In the Dark Glass* zmieszała Strzeleckiego z błotem. Natrafiła zresztą na podatny grunt, bo w Australii przez długi czas nie tolerowano „obcych” – jak nie Anglosas, to poszedł won! Z Paszkowskim znaleźmy się dobrze, był patronem naszej organizacji. Wielokrotnie dyskutowaliśmy o potrzebie przełożenia książki na język polski. Obiecywaliśmy! Po śmierci pana Lecha poczuliśmy, że wypada dotrzymać obietnicy. Tłumaczeniem miało się zająć nasze grono ekspertów, ale okazało się, że jesteśmy zbyt zajęci. Napisałam do dyrektora Markowskiej, pytając, czy Wydawnictwo Naukowe UAM podjęłoby się tego zadania. Odpowiedź była pozytywna, tak więc w sierpniu 2019 roku osobiście się spotkaliśmy z panią dyrektorem oraz tłumaczką, omawiając szczegóły. Od sierpnia 2019 do sierpnia 2021 i książka gotowa! Mamy książkę oraz e-book.

**Jednym z tematów, będących języczkiem u wagi, jest od lat spadek po Strzeleckim. Walczą o niego – ze słabym skutkiem – także rodziny w Polsce. Czy, pani zdaniem, ta sprawa ma szansę znaleźć kiedyś swój finał?**

Tu natychmiast odpowiem, że nie mają szans. I to z wielu powodów. Po pierwsze, Strzelecki tych legendarnych majątków bynajmniej nie posiadał, po drugie sprawa jest przedawniona, po trzecie większość „spadkobierców” sfałszowała genealogię; właśnie rozgryzam ten problem, sprowadzając z archiwum Archidiecezji Gnieźnieńskiej różne metryki

i studiując je. Sprawcą całego zamieszania wokół spadku po Strzeleckim był niejaki Bolesław J. Strzelecki z Nowego Jorku, który w latach 30. skrzyknął „potomków” Strzeleckiego i w ich imieniu opracował dokument, którego Polska, Polonia i Polacy powinni się po wsze czasy wstydić. Otóż Bolesław wystosował do parlamentów australijskiego i brytyjskiego memorandum, w którym domagał się miliardów funtów jako rekompensaty za kopalnie srebra i złota, również za straty odniesione wskutek utraty zysków z eksploatacji tych kopalń – no, totalna paranoja! Mało tego, domagał się kolonizacji polskiej na obszarach wokół Góry Kościuszki oraz w Prowincji Strzeleckiego (czyli w krainie Gippsland). Parlament w Canberra owszem pokwitował odbiór memorandum, ale natychmiast zrugął ministra, który nieco wcześniej był w Nowym Jorku, gdzie spotkał się z Bolesławem S., zapewne dając mu jakieś nadzieje.

**Czy Wielki Podróżnik, pani zdaniem, znalazł już właściwe mu miejsce w historii kontynentu?**

Nie bardzo. Wprawdzie w roku 1927 postawiono w gąszczu Gippsland kilka pomników Strzeleckiego, jednak w tym samym czasie postawiono wiele pomników Macmillanowi, którego silna i promasońska społeczność szkocka do dziś uważa za jedyne i prawdziwe odkrywcę Gippsland. Oficjalna nauka uznaje Strzeleckiego za odkrywcę Gippsland, który opublikował raport, zachęcający do osiedlania się na tych niezwykle żyznych ziemiach. Dużo pozytywnego hałasu było wokół pomnika Strzeleckiego, odsłoniętego już 33 lata temu. Ten majestatyczny, ogromny pomnik stoi nad Jeziorem Jindabyne. Dobrze więc, że mamy pomnik w tak uroczym miejscu, ale dopóki w australijskich programach nauczania nie pojawi się Strzelecki jako podróżnik, odkrywca i filantrop, to marne szanse na jego promocję. Może kiedyś ministerstwo edukacji dojrzyje do Strzeleckiego, my tymczasem podejmujemy próby bezpośredniego docierania do australijskiej młodzieży. Obecnie sprowadzam z archiwów londyńskich nieznane listy Strzeleckiego w nadziei, że dowiemy się czegoś nowego. Jak opracuję te listy, dam znać, podzielę się odkryciami i refleksjami. Ja jestem przekonana, że jeszcze sporo różnych faktów z życia Strzeleckiego wyjdzie na światło dzienne...

---

**Dr Ernestyna Skurjat-Kozek:** Absolwentka Filologii Polskiej na UAM. Obecnie szefowa Pulsu Polonii, propagatorka postaci Pawła Edmunda Strzeleckiego, starająca się o nadanie statusu dziedzictwa kulturowego trasie, którą Strzelecki podążył na Górę Kościuszki. Prezeska organizacji Kosciuszko Heritage, która doprowadziła do wydania w Polsce dzieła Lecha Paszkowskiego, poświęconego wybitnemu podróżnikowi.

---



FOT. ADRIAN WYKROTA

# Z profesorem na grzyby

Z prof. Łukaszem Kaczmarkiem

z Wydziału Biologii rozmawia Michalina Łabiszak

## Chadza pan na grzyby i robi z nich przetwory, czyli nie samymi niesporczakami człowiek żyje...

Tak, niesporczakom poświęcam sporą część swojego życia, także prywatnego. Jak pani widzi, mam koszulkę z niesporczakiem i skarpetki, ale przyznaję – grzybobranie i robienie przetworów to także moje hobby – dzięki niemu mogę oderwać się od uczelnianej rzeczywistości. Uwielbiam zbierać grzyby i przygotowywać z nich przetwory. Problem jest taki, że nie do końca lubię to wszystko zjadać – radość daje mi proces przygotowywania. Dwa lub trzy lata temu przerobiłem ok. 250 kg grzybów – obdarowałem nimi wszystkich swoich znajomych. Wędrowanie po lesie w poszukiwaniu grzybów czy żurawiny umila mi życie i daje spokój oraz radość.

## Co jest zatem istotniejsze – wędrowka czy szukanie i zbieranie?

I jedno, i drugie. Chodzenie po lesie samo w sobie odpręża. Często spotykam zwierzęta, odkrywam nieznanne mi gatunki roślin. Mam swoje miejsca, które odwiedzam już od 20 lat. W zasadzie chodzę po tych samych lasach, znam je jak własną kieszeń. Muszę przyznać, że jak spotykam tam ludzi, to czuję, że ktoś wchodzi na mój teren. A jeżdżę kawałek stąd, bo około stu kilometrów od Poznania w jedną stronę.

## Chciałem zapytać, co to za miejsce, ale może nie chce pan zdradzać, żeby nie zrobiło się zbyt tłoczno!

Nie, to żadna tajemnica! Zabieram tam wszystkich, którzy chcą się przejechać na grzyby. W sumie mnóstwo osób już ze mną tam było na wspólnej eskapadzie. To są okolice miejscowości Biała i Mężyk w Puszczy Nadnoteckiej. Zresztą Puszcza jest tak dużym kompleksem leśnym, że każdy znajdzie tam swoje miejsce. Wszyscy zatrzymują się w zasadzie zaraz za rogatkami Wronek, więc tam faktycznie jest gęsto. Natomiast gdy dojeżdżam w okolice Białej, to poza miejscowymi nikt tamędy nie

chodzi. Jest tam bardzo dużo gatunków grzybów i nawet gdy ludzi jest więcej, to większość zbiera podgrzybki, prawdziwki, koźlarze – grzyby, które mają hymenofor w postaci gąbki. To jest oczywiście bezpieczne. Nie popieram działania w oparciu o przeświadczenie „chyba widziałem ten grzyb w atlasie, biorę”. To niebezpieczne zachowanie, więc jeśli ktoś nie jest pewien, to oczywiście powinien zbierać podstawowe gatunki, które łatwo rozpoznać. Natomiast grzybów jadalnych w Polsce jest całe mnóstwo. Mówi się, że wszystkie, choć niektóre tylko raz, ale – już na poważnie – większość polskich grzybów jest jadalnych, a wiele osób je omija. Dlatego nie jest tak istotne, kiedy i gdzie pojadę, bo i tak zbiorę ich dużo.

## Co to za gatunki?

Jest ich wiele i są sezonowe. Rosną nawet zimą, choć przyjęło się, że na grzyby najlepiej jeździć wczesną jesienią. Zimą zbieram zimówki, czyli płomienice zimowe, które rosną na drzewach liściastych, można je znaleźć także nad Wartą, często na topolach, rosną w kępach. Podczas łagodnych zim, które coraz częściej zdarzają się u nas, tych grzybów potrafi być naprawdę mnóstwo. Zresztą mrozy też wytrzymają. Innym gatunkiem są uszaki bżowe, które pojawiają się już jesienią. To te grzyby, które wszyscy kojarzymy jako chińskie grzyby mun. W Chinach też rosną na bżach. Można je zbierać i suszyć – nie trzeba ich kupować. Kolejnym gatunkiem jest czasznica olbrzymia. To takie ogromne purchawki, które mogą ważyć kilka kilogramów – są przepyszne i idealnie nadają się na kotlety, jak kanie, zwane sowami. Z innych gatunków zbieram właśnie kanie, muchomory. Wiele osób wzdryga się, słysząc, że zbieram muchomory. Natomiast są wśród nich jadalne gatunki. Ja zbieram dwa: czerwonawy i rdzawobrazowy nazywany potocznie „panienką”. Ten ostatni trudno pomylić z trującym muchomorem ze względu na jego kolor, jednak przy czerwonawym trzeba być ostrożnym. Ciekawostką jest



to, że jego miąższ czerwienieje po zerwaniu, stąd nazwa. Jednak początkującym grzybiarzom zbierania muchomorów nie polecam. Do mojego koszyka trafiają również kurki, podgrzybki, prawdziwki, gąski zielonki i niepopularne blaszkowe gąski szare. To bardzo smaczny grzyb, także łatwy do zidentyfikowania – rośnie w dużych skupiskach. Zbieram też borowiki. Wśród tej grupy jest gatunek trujący. Pamiętam, że moja mama swego czasu, gdy przywoziłem koszyk pełen grzybów, mówiła: „ja wiem, że różnie między nami bywa, ale nie spodziewałam się, że będziesz próbował mnie otruć”. Na szczęście już się przekonała, że wiem, co robię i czym częstuję.

#### **Czy są konkretne miejsca, gdzie można znaleźć określone gatunki grzybów? Gdzie ich szukać? Zapewne w pobliżu pewnych gatunków drzew.**

Tak, oczywiście. Grzyby związane są z konkretnymi gatunkami drzew – zachodzi między nimi mikoryza. W Polsce przyjęło się, że zbieramy głównie podgrzybki. Dlaczego tak się dzieje? Z bardzo prostego powodu. Przeważają u nas lasy sosnowe, a podgrzybki związane są między innymi z sosną. Niektóre gatunki borowików także. Natomiast koźlarze znajdziemy w brzożowych zagajnikach czy brzeźniakach. Gąski zielonki szukamy także w lesie sosnowym, ale na piaszczystej glebie. Najczęściej młodników. Zielonki zbiera się w specyficzny sposób, ponieważ często w ogóle ich nie widać. Widzi się tylko górki ziemi, które pojawiają się na drodze, przy drodze lub w zagajniku sosnowym. Aby je wydobyć, trzeba nieco rozgrzebać ziemię. Podczas ich jedzenia wyczuwa się potem zgrzytające między zębami ziarenka piasku. W podobnych miejscach rośnie gąska szara. Podgrzybków złotawych szukamy z kolei w lesie liściastym, a kani w mieszanym i liściastym. Za maślakiem musimy rozejrzeć się w zagajnikach sosnowych. Szmaciaka gałęzistego znajdziemy na obumarłych sosnach, najczęściej na pniakach. Z kolei czasznica olbrzymia i pieczarki dobrze czują się na łąkach. Nie polecam leśnych pieczarek, ponieważ omyłkowo możemy zebrać trujące pieczarki karbolowe. Fanom kurek radzę udać się do młodników i szukać w pobliżu brzoż, ewentualnie brzoż rosnących w towarzystwie sosen.

#### **Dla mnie ciekawe jest to, że na drzewach występują jadalne grzyby. Klasyfikowałam je jako niejadalne...**

Cóż, grzyby to też pasożyty. Ja zbieram trzy gatunki: opieńkę miodową, szmaciaka gałęzistego, który rośnie na rozkładającym się drewnie i żółciaka siarkowego. Kiedy ten grzyb pojawi się na drzewie, oznacza to rychłą śmierć dla żywiciela. Żółciaka trudno jest z czymkolwiek innym pomylić, jest żółciutki jak kurczaczek wielkanocny, często ma czerwonawą obwódkę. Żółciaka siarkowego trzeba zbierać, gdy jest młody. Kiedy się starzeje, to drewnieje i jest nie do zjedzenia. Na drzewach rosną też huby, choć ja ich nie zbieram. Pozyskuje się z nich ekstrakty. Z kolei z białoporka, rosnącego na brzożach, przygotowuje się leczniczą nalewkę.

#### **A co pan przyrządza z zebranych grzybów?**

Borowiki suszę, ponieważ są bardzo aromatyczne i dodane do sosów wzbogacają ich smak, ale także zalewam octem, smażę. Smażone na maśle klarowanym są idealne do dłuższego przechowywania w słoiku. Można je też zakisić. Choć ja na tym polu odniosłem serię porażek i dotąd nie udało mi się ustalić, gdzie popełniam błąd. Zresztą ogórków też nie potrafię ukisić, więc może to zwyczajnie nie jest moja mocna strona. Kanie smażone są przepyszne jako alternatywa dla tradycyjnego kotleta. Zresztą usmażone grzyby też można zamarynować w occie. Przygotowanie octowych zapraw to sztuka sama w sobie. Wszystko zależy od naszych preferencji – mogą być ostre, słodkie, kwaśne. Ja robię je w proporcji: 4 szklanki wody na szklankę octu – to sposób mojej mamy. Dodaję oczywiście także pieprz, liście laurowe, ziele angielskie, gorczycę oraz kilka innych przypraw, cebulę i marchew.

---

**Prof. Łukasz Kaczmarek:** Naukowo, ale i prywatnie, zajmuje się niesporczakami i jak sam przyznaje – ma na ich punkcie bzika. Nie jest to jednak jedyny przedmiot jego zainteresowań. Swój wolny czas poświęca także innym pasjom – grzybobraniom i robieniu przetworów, a także obdarowywaniu nimi przyjaciół.

---

# GEOpraktyki w Tanzanii

Tanzania to jeden z najbardziej fascynujących krajów Czarnej Afryki, który powstał z połączenia dawnych brytyjskich kolonii: Tanganiki i Zanzibaru. Tanzania nie jest jeszcze tak popularna, jak na przykład Kenia, ale zachwycony nią będzie nawet najbardziej wymagający podróżnik.

**B**rzmi to jak tanie hasło reklamowe, ale tak jest. Sprawdzili to uczestnicy studenckiego projektu naukowego GEOpraktyki podczas swojej szóstej wyprawy pt. Okiełznać sawanny Tanzanii. Ekspedycja naukowo-badawcza studentów pod opieką naukową dr Magdaleny Kugiejko z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych trwała trzy tygodnie. Podczas pobytu pobrane zostały próbki gleb i osadów jeziora ryftowego Tanganika celem późniejszego zbadania ich składu chemicznego na tle rozwoju wschodniej odnogi ryftu wschodnioafrykańskiego. Wykonana została również ocena warunków biometeorologicznych w klimacie podróznikowym wilgotnym i suchym.

Na podstawie badań terenowych będzie można ocenić wpływ elementów meteorologicznych na ludzki organizm. Podjęto także próbę przeanalizowania zjawiska rozwoju turystyki na wyspie Zanzibar i wzrostu zainteresowania nią dzięki akcjom promującym w mediach społecznościowych. Te media, zdaniem badaczy, to zdecydowanie silna determinanta wyboru tej destynacji turystycznej.

Elementem badań było również porównanie rzeczywistego odbioru przez turystów „Afrykańskiego safari” z jego obrazem w mediach społecznościowych. Afryka to kontynent dla doświadczonych podróżników. Dziewicze piękno, bogactwo przyrody, przestrzenie, krajobrazy, sawanny. To wszystko towarzyszyło nam podczas całego pobytu w tym pięknym miejscu. Nasza podróż rozpoczęła się w Dar es Salam, największym mieście Tanzanii, położonym we wschodniej części kraju nad Oceanem Indyjskim. Wracając do niego po blisko trzech tygodniach, przemierzaliśmy odległość 4 000 km.

Tanzania, poza legendarnym i majestatycznym szczytem Kilimandżaro nazywanym „Dachem Afryki” (5895 m n.p.m.), oferuje unikatowe w skali świata parki narodowe. Podczas pobytu grupa z Poznania przebywała między innymi w Parku Narodowym Tarangire, dla którego charakterystyczne są lasy akacyjne, z rosnącymi w nich ogromnymi baobabami. Z kolei

następny cel podróży, Park Narodowy Serengeti, wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, jest największym rezerwatem przyrody w Afryce (ponad 14 tys. km), nieprzypadkowo zatem określa się go mianem bezkresnych równin. W Parku Narodowym Serengeti spotkać można całą Wielką Piątkę Afryki. Mówi się jednak, że „sercem Serengeti” są lwy. To właśnie tam byliśmy świadkami polowania lwic na guźca z tragicznym finałem dla ofiary.

Trzecim unikatowym Parkiem Narodowym Tanzanii jest Ngorongoro, znajdujący się na samym szczycie krateru o tej samej nazwie. Krater jest położony około 2000 metrów n.p.m. Ocenia się, że olbrzymi wulkan, który wybuchł 3 miliony lat temu, mógł mieć wysokość nawet 5800 m. Głębokość krateru to 610 m. Powierzchnia wgłębienia to 260 km kw.

To największe takie miejsce na Ziemi i dopiero na dole, gdy człowiek znajdzie się na płaskim jak stół terenie, dociera do niego świadomość, jaki jest mały... We wszystkich tych miejscach bardzo blisko obcuje się z przyrodą i zwierzętami. Dosłownie blisko, bo gdy zasypia się w namiocie, to myśli się, czy hiena, którą słycać, jest 500 czy 300 m od namiotu i czy hieny jedzą ludzi?

Na terytorium Tanzanii leżą trzy Wielkie Jeziora Afrykańskie, w dwóch z nich nasza ekipa się wykąpała. Jedno z nich, Tanganika, to największa kryptodepresja na kontynencie. Jest ono drugim, najgłębszym jeziorem na świecie – ma 1470 metrów głębokości. Na północy rozciąga się największe jezioro w Afryce, uchodzące również za jedno ze źródeł Nilu – Jezioro Wiktorii. Szacuje się, że bliskość Jeziora Wiktorii zapewnia środki utrzymania i życia nawet 30 milionom ludzi. Tanzania jest jednym z najbardziej zróżnicowanych kulturowo krajów w Afryce. Kraj postrzegany jest jako model pokojowego współistnienia w społeczeństwie wieloetnicznym. To, co spaja ludy Tanzanii, to głównie język i religia. Ponad 94% ludzi jest wierzących, mimo, że są to różne religie. Ludność tamtych okolic jest bardzo otwarta i przyjazna.



Kolejna edycja GEOpraktyk okazała się jedną wielką przygodą.

Najpopularniejszym stereotypem, który dotyczy Tanzaniańczyków, jest zebranie o pieniądze. Czy to prawda? I tak, i nie. Zależy od regionu. W większości wiosek ludzie byli uśmiechnięci i przyjaźnie nastawieni. Zdarzały się jednak miejsca, szczególnie na Zanzibarze, gdzie jedyną reakcją dzieci były wypowiedane słowa: *Jambo, give me money*, co oznacza „cześć, daj mi pieniądze”. Wśród dorosłych takie zachowania zdarzają się naprawdę rzadko. Byliśmy świadomi, że to nie wina tych dzieci tylko turystów, którzy nieumyślnie robią im krzywdę, myśląc, że robią coś dobrego.

Podsumowując nasz wyjazd: po raz kolejny udowodniliśmy, że chcieć to móc! Łącząc zdobytą na studiach wiedzę z praktycznymi czynnościami planowania podróży, nabyliśmy nowe cenne umiejętności. Wyjazd do Tanzanii dał okazję do pracy z mapami (cyfrową i analogową), możliwość wykorzystania umiejętności językowych, sprawdzenia się jako organizatorzy wyjazdu, przewodnicy, naukowcy. GEOpraktyki to projekt, który tworzą studenci Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych.

**Magdalena Kugiejko**



Prawdziwie akademicki mural w Collegium Polonicum w Świdnicy powstał z okazji 50. rocznicy powstania jednostki i współpracy UAM z Europa-Universität Viadrina. Dzieło namalowali artyści z frankfurckiej grupy 153Design.